1

Konstanty M. Gorski.

Z lat szkolnych.
1879 - 1881.

Do Jego biografii

N

Osobiste
Z szkolnych lat

Z czasów szkolnych –

Tu leży wieszcz Konstanty! szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi – komedyą napisze!

KOMEDYE

Konstantego Górskiego

Wola Pękoszewska 1878.

Nakładem i drukiem autora.

Egzemplarze nie podpisane przezemnie prawnie poszukiwane będą.

Konstanty Górski.

Spis rzeczy.

Nasze czasy fraszka w 1 akcie.
Odwaga cywilna tragikomedya w 1 akcie.

NASZE CZASY.

Farsa ze śpiewkami w 1 akcie,
przedstawiona na scenie Teatru Wolskiego
po raz pierwszy
w d. 9. Lipca 1878-go r.

Osoby:

Sultan.

Anglik

Polak

Serb

Moskal.

Rzecz dzieje się w Stambule w przeszłości
i w przyszłości.–

Przy pierwszem przedstawieniu rolę sułtana objął p. Antoni (jun), rolę Anglika – p. Ludwik (jun)., rolę Serba – p. Jan (jun), rolę Moskala – p. Konstanty (jun), rolę Polaka – p. Paweł (Popiel jun; jun.).

Następnie rolę Polaka przyjął na się pan Jan (jun), który w ten sposób dwie role grał.

Scena pierwsza.

(Teatr przedstawia komnatę w pałacu sułtana. Jedne drzwi w tyle, drugie na prawo, trzecie na lewo od aktorów. Na przodzie sceny sułtan pali fajkę i pije kawę, siedząc na kanapie). Sułtan potem Serb.

Sułtan.

O Mahomecie, wielki proroku,
Jakby to dobrze było na świecie,
Gdyby nie Moskal! On solą w oku!
Lecz go wypędzić potrafię przecie.
O Mahomecie, wielki proroku!

Serb (ukłoniwszy się:)

Panie Turku! bardzo proszę

Ja zawiele teraz znoszę.
Przestań mię raz uciemiężać,
Bo umiem bić i zwyciężać!

Sułtan (zrywa się z sofy)

Za drzwi Giaurze! psie chrześciański
Uczcij majestat sułtański!
Ja jestem Allaha synem,
Królem królów, panem świata,
A ty? – Nędznym chrześcianinem!
Ruszaj za drzwi – idź do kata!

Serb (odchodząc)

Wspomnisz o mojej zniewadze,
Gdy Moskala przyprowadzę.

(Sułtan zostaje w osłupieniu).

Scena druga

Sułtan (sam; śpiewa na nutę „Departamentu Niższej Sekwany" Bartelsa.)

Ach straszna bieda, ach, ach, okropnie.
Nie wiem doprawdy, co z tego będzie!?
Jeśli się Moskal z północy kopnie,
Jeszcze mi może na karku siędzie!

Ach straszna bieda! ach, dałżem sobie!
Sam sobie taki paszteł sprawiłem!
(wznosi ręce) Mocny Allahu, nadzieja w tobie!
Bo ja ci zawsze wiernie służyłem.

Scena trzecia.

Sułtan, Anglik.

Anglik (z za drzwi lewych)

Jak się ma Sułtan Dobrodziej?
Hau doo you doo! wejść się godzi?

Sułtan (z oznakami wielkiego strachu)

Kto to? Ach, Allahu,

Czy to Moskal przed bramami?

(Anglik wchodzi) Nie! to John Bull z sterlingami!

Ale najadłem się strachu!

Anglik (śpiewa 1))

Ja słyszałem, mój Sułtanie,

Że tu z Wami coraz kruszej,

Że Was Moskal połknąć w stanie,

Jeśli Anglia się nie ruszy.

Ja dostarczę Ci pieniędzy,

Żeby wydrzeć srogiej nędzy;

Ja zapłacę Twoje długi,

---

1) Na nutę piosnki: „Ach, mój panie, wszak to przecie" w komedyi ce Jana Aleksandra Fredry (syna) „Piosnka Wujaszka"

Flota moja na usługi.

Sułtan (z dumą)

Ja, król królów, ja, pan świata,
Wdzięczny jestem Ci, Angliku!
Szabla moja świat rozpłata
Ja ci bogactw dam bez liku.

(śpiewa:) 2) Już wami wzgardzałem,
Już wam nie ufałem,
Już całkiem przestałem
Miłość dla was czuć.

Wtem widzę, że morze
Jakiś okręt porze-
Do Turcyi przybywa-
To angielska łódź!

---

2) Na nutę piosnki: „L'ombre s'évapore, et déjà l'aurore de ses rayons dore etc..."

Więc wojsko mam!
Więc flotę mam!
Więc w skórę dam!
Skarb wezmę sam!

I zaraz też siły
Do serca wróciły.
Angliku, mój miły,
Całusa ci dam! (chce uściskać Anglika, który cofa się z ukłonem)

Anglik (zarozumiale:)

E, Sułtanie! pobijemy
Wytłuczemy wnet Moskala.
Co ten jeden? gdy stawimy
Bilion złotem. Wnet się szala
Na Angielską stronę zwróci –
Złotą górą was zarzuci.

Sułtan.

Ale powiedz mi, angliku,
Mój John Bullu, polityku,
Jaka tego jest przyczyna,
Że sułtanów wschodnich sprawa
Takim strachem was napawa?

Anglik (śpiewa 3))

Co ty nie wierzysz mi?
Ja dobrze życzę ci!
Ja bronię cię!
Ja walczę za kraj wasz!
A ty gdzie wdzięczność masz?
O, źle, o, źle!

Sułtan (zatykając uszy:)

Wierzę ci! wierzę...

---

3) Na nutę angielskiego narodowego hymnu „God seve the king"

Anglik (śpiewa 4))

Od początku prawie świata
Turcya z Anglią w zgodzie są;
Wspólny je interes brata:
Obydwie przed Rosyą drżą.
(z zapałem) Lecz nastały dobre czasy
Raz zakończmy sprawę tę!
Damy Moskwie tęgie basy
Niechaj potem leczy się!

Scena czwarta.

Sułtan, Anglik, Moskal, Serb.

Moskal (wpada tylnemi drzwiami trzymając Serba za rękę i wrzeszczy do Anglika:)
Paszoł won!

---

4) Na nutę: „Pan, pan, pan, la forge fume,
Pan, pan, pan vite au fourneau."

Anglik (ucieka drzwiami na prawo)

Zaraz! tylko się ustroję.

Scena piąta.

Sułtan, Moskal, Serb.

Moskal

Ej! ty sułtan durák.

My tiebie damy tak. (wstrząsa knutem)

Kak smiejesz (wskazując Serba) Serbow pri-
gniętáť![2]

Polakow u siebia deržať![2]

Sułtan (w strachu)

Angliku na pomoc!

Anglik (za drzwiami)

Zaraz tylko się ubiorę.

Moskal.

Angliczan nie przizywáj!

Wot! ja idu w twoj seráj!

Sultan (w strachu i rozpaczy:)

Angliku! na pomoc!.....

Anglik (za drzwiami)

Zaraz. – Tylko się ubiorę

Scena piąta.

Sultan, Moskal, Serb, Polak (tylnemi drzwiami).

Moskal (spostrzegający Polaka)

Wot! nie charaszo!

Polak (po drodze trąca Moskala i stając przed Sultanem mówi z fantazyą:)

Sultanie! kiedy Anglik dawny sprzymierzony
Pomocy ci dzisiaj odmawia
Polak, choć niegdyś wróg, chociaż zwalczony
Z pomocą przed tobą się stawia.

(Sultan i Polak wyrzucają za drzwi Moskala i Serba.)

Scena szósta.

Sułtan, Polak, Anglik.

Anglik (w stosowanym kapeluszu ze szpadą) Winszuję Sułtanie!
Wygrałeś mój panie.
Pobiłeś hołotę
Za wojsko i flotę
Płać!

Polak (dobrodusznie:)
A, patrzcie-go, a to żmije.
Kiedy walczą on się kryje,
A teraz żąda zapłaty!
Wynoś się Acan za katy!

(Anglik ucieka)

Polak (podając rękę)
Niechaj teraz, mój Sułtanie,
Między nami pokój stanie.

(Sułtan kłania się z godnością i

zbliża się do niego. Podając sobie ręce i śpiewają Jeszcze Polska nie zginęła, obróceni obydwaj bokiem do publiczności. Zasłona spada.)

Koniec.

ODWAGA CYWILNA

Tragikomedya ze śpiewkami
w 1 akcie
przedstawiona po raz pierwszy
na scenie Teatru Wolskiego,
w d. 15 Sierpnia 1878 r.

Osoby.

Wuka Brankowic obywatel w Bośnii.
Sulejman-basza wódz turecki w Bośnii
Despotowicz wódz powstańców Bośniackich.
Służący Brankowica.

Rzecz dzieje się w domu Brankowica
na początku powstania.

Rolę Brankowica objął p. Konstanty (jun), rolę Sulejmana – p. Antoni (jun), role Despotowicza i Służącego – p. Ludwik (jun).

W Grudniu 1878 i d. 29 Grudnia 1879 rolę Brankowica raczył objąć p. Waldemar (Zeyssenhoff), który niedostatki jéj wyborną grą pokrył.

D. 1-go Stycznia 1880 r.

Scena pierwsza.

(Teatr przedstawia pokój skromnie umeblowany. Jedne drzwi w tyle, drugie na prawo, trzecie na lewo od aktorów. Na przodzie sceny siedzi Brankowic z okularami na nosie, w szlafroku i czyta gazetę. Przed nim mały stolik. W głębi szafa z ubraniem.)

Brankowic (sam. Rzuca z gniewem gazetę i wstaje)

Dyabli tę wojnę nadali
I wszystkie jej przyjemności!
Wczoraj stado zrabowali,
Dziś mi napadli na włości,
Jeszcze mię tu kto podpali!

Nie! to nie do wytrzymania

Codzień jakaś nowa bieda
Z powodu tego powstania,
Które na nic się nie przyda!...

To okropność!.. a do kroci!....

A to wszystko patryoci!
Despotowicz i waryaci,
Co jego partyę składają...
Niech go razem z całą zgrają
Patryotów wezmą kaci!

(po pauzie ze strachem).

Nie wiadomo w którą stronę
Dobroczynny wiatr zawieje?...
Gdzie złe będzie, gdzie nadzieje?
Nikt nie weźmie mię w obronę....

To mi zyski! to mi gratki!
Tym i tamtym płać podatki,
Od obydwóch jest zapłata:
Powróz, kulka lub miecz kata.

Scena druga

Brankowic, Służący (z drzwi lewych.)

Służący. (w trwodze, jąkając się)

Jaśnie P... Panie, co t... to będzie?
Jakiś k... koń w złocistym rzędzie,
A na koniu – muzułmanin...

Brankowic (ukrywając strach)

Co ty gadasz?... gdzie poganin?
Co za podlec, co się boi!

Służący.

Ja powiadam Ja... Ja... Jaśnie Panu
St... Starszy z tureckiego stanu

Przed wj.. wj.. wj.. wjazdową bramą stoi.

Aj, ja przez okno widzę,
Że Sulejman-basza jedzie.
Co ja pocznę w takiej biedzie?...
(do służącego) Daj mi frak! mój frak, gałganie.
Wnet Służący (wyjmuje frak z szafy i czyści go.) Wnet oczyszczę jaśnie panie.

Brankowic.

Co tam! brudny czy czyszczony....

Ach! zajechał z tamtej strony
Jak zobaczy karabiny,
Co powstańce zostawiły.
Zabije mnie!... Ach nie mam siły!
Daj frak! (do siebie) W jakim jestem stanie!

Służący (podając frak.)

Oto jest frak, jaśnie panie.

(Brankowic w pośpiechu wkłada frak na szlafrok)

Scena trzecia.

Brankowic, Sulejman-basza (gestykuluje bardzo wiele).

Sulejman

Safitara, dundu more,
Sulejmana vzyka d'ore!...
Bendar muszu, piterłana:
Ja przybywam od sułtana.

Brankowic (skurczony ze strachu)

O świetna gwiazdo w muzułmańskim świecie,
Wmężny Sulejmanie z radości i strachu
Drżę, że cię oglądam w moim domu przecie,
Mężny synu Attaha, mądry padyszachu.

Sulejman (z godnością)

Sułtan, pan mój, syn Allaha,
Król królów, pan wszego świata.
Przysyła mnie, padyszacha
Sulejmana.
Wielka strata,
Od powstańców poniesiona,
Na którą tak się skarżyłeś, (Brankowic wznosi głowę)
Gdy u nas w Stambule byłeś,
Będzie ci wynagrodzona.

Brankowic (z radością)

Ile mi przywozisz Panie?
Czy mi to na długo stanie?
Więcej wieziesz od miliona?

Sulejman.

Dar nie w złocie, ale więcej
Wart niż całe złoto w świecie.

Brankowic (żywo)

To koni kilka tysięcy.

Sulejman.

Nie w koniach.

Brankowic (z ciekawością niepohamowaną)

Powiedz przecie.

Sulejman (wyjmując z pugilaresu włosy)

Oto z wielkiego buńczuka
Zyrwane widzisz trzy włosy.

Brankowic (szyderczo i gniewnie)

E! wolałbym złota trzosy.
Co te kłaki!? Mądra sztuka.

Sulejman (zdziwiony i oburzony)

Co Giaurze?... Ty szydzisz?!
Tym darem się brzydzisz?

Brankowic (zostaje przez pewien czas w osłupieniu, potem mówi zmieszany:)

Nie - nie - nie - ino
Znet wrócę przyniosę wino.

(wychodzi)

Scena czwarta

Sulejman (sam. śpiewa 1))

Ach te Giaury, to dziwaki,
Ach dziwaki niepojęte.
Nie cieszy ich prezent taki:
Trzy włosy z buńczuka wzięte!!!!
Ach te Giaury, to dziwaki,
Ach na Mahometa brodę!
Rumem gardzą, a pijaki
Wino chłeptają, jak wodę.

---

1) Na nutę piosnki Kacpra w komedyi ce Fredry syna p. t. „Piosnka wyjaszka." - „Ach mój panie, wszak to przecie."

Scena piąta.

Sulejman, Brankowic.

Brankowic (bez szlafroka, we fraku tylko z butelką araku i kieliszkami).

Oto mężny Sulejmanie,
Niech araku flaszka stanie.
Bo prawa, jak powiadają,
Wina pić nie dozwalają.

(Siadają przy małym stoliku na przodzie sceny, naprzeciwko siebie. Sulejman siada na piętach, Brankowic nalewa arak.)

Sulejman (śpiewa z kieliszkiem w ręku.[2])

Ach, to arak doskonały!
Jaka woń i moc!

---

2) Na nutę piosnki: „Szynkareczko, szafareczko, bój się Boga, stój!"

Gotówem go pić dzień cały
Choćby całą noc!

Brankowic (wstając)

Według zachowanego
W rodzinie naszej porządku,
Zdrowie sułtana naszego
(Sulejman wstaje)
Wypijmy zaraz z początku.

Sulejman.

Cieszy mię, że serdeczny.
Bierzesz udział w naszej sprawie
Mój Brankowicu waleczny.

Brankowic.

Niech nam długie, długie lata
Nasz Abdul-Aziz łaskawie
Panuje na szczęście świata.
Niech żyje!

Sulejman

Niech żyje! (trącają kieliszkami)

Brankowic (z ukłonem)

A teraz zdrowie wielkiego
Padyszacha tureckiego
Twoje zdrowie Sulejmanie
Żyj nam długo, drogi Panie!

(siadają. Po pauzie)

A co się z naszymi dzieje?

Sulejman.

Wszystko dobrze, wyśmienicie!
Nadzieja zwycięstw się śmieje!

Brankowic (z udaną radością)

Jak mię to niezmiernie cieszy!

Sulejman.

Co żyje wnet do nas spieszy
Zwyciężymy.

Brankowic.

Niezawodnie.

Czyż garstka awanturników
Może wystąpić do boju,
Stanąć wobec waszych szyków.
Zażądają wnet pokoju.

Sulejman.

Tak, lecz w kasie niedostatki....

Brankowic (podskakuje na krześle)

Czy powiększycie podatki?

Sulejman.

Czego się tak strasznie trwożysz

Brankowic (źle udając radość)

Ja nie w trwodze, ja się cieszę.

Sulejman.

Prosiłbym cię też, mój Panie,
Abyś raczył się przyłożyć
I nasz skarb państwa pomnożyć.

Daj co na armią bojową.

Brankowic (do siebie)

Dyabli wzięli składkę nową.

(Głośno.) Wielka radość, honor dla mnie.

Że mogę służyć przynajmniej

Tą drobnostką. (Wyjmuje pieniądze papierowe)

Sulejman.

To nie wiele

Ale zawsze cię zapiszę. (Pisząc w konotatniku mówi)

„Pan Wuka Brankowic ofiaruje na armią

bojową trzy kaimy." (Słysząc piosnkę śpiewaną za

sceną przez chór: „Marchande de marée," wstaje)

Wojsko idzie?!... Żegnam was.

Komu w drogę, temu czas.

(Podaje rękę Brankowicowi i wychodząc zostawia

konnotatnik.)

(Brankowic zlewa z kieliszków arak do butelki

i wychodzi.)

Scena szósta.

Despotowicz (sam. Wpada tylnemi drzwiami w pełnem uzbrojeniu i krzyczy:)

A do trzystu batalionów,
Kpów; fur, beczek i furgonów
Diabłów!...
Gdzie Brankowic?! Co u diaska!
A przyjdziesz ty jeśli łaska
(Chodzi po pokoju. Staje i śpiewa na nutę „Poszły panny")
Wszystko dzisiaj się śmieje, się śmieje, się śmieje
Bo dziś wielką nadzieję, nadzieję .... mam.
Tra la la la.... i t. d. (wywija szablą)

Jeśli Turków nie zbiję, nie zbiję, nie zbiję
Tym się mieczem przebiję, przebiję .... sam.
Ciach, ciach, ciach... i t. d. (wywija szablą)

Scena siódma

Despotowicz, Brankowic.

Brankowicz (wchodzi pod koniec śpiewu Despot)

Kto tak wrzeszczy w moim domu?....
(spostrzegając Despotowicza) Ach to ty, kochany Panie.
Jaśnie wodzu pieśń zawodzisz!
Ślicznie śpiewasz! – Ach nikomu
Nie powiem, że w me mieszkanie
Wejść raczyłeś...... Co tak okiem na mnie godzisz?
Wszak ja ciebie tu nie zdradzę,.......
Wszak ja jestem patryota......
(Po pauzie) Wystaw sobie ten niecnota
Sulejman w tej stronie siedzi
I każden ruch pański śledzi.....
(Po pauzie). Jak to dobrze, że przybyłeś,
Bom jest w strasznej biedzie, w nędzy.....

Despotowicz (zniecierpliwiony)

Wiem – wiem – wszak się skarżyłeś.

I petycyi trzy arkusze
Nabazgrałeś do naszego
Rządu narodowego...
Jak ty możesz, na mą duszę,
Kiedy wojna, krew się leje
Myśleć wciąż o interesie?
Patryotyzm, gdzież u diaska!

Brankowic.

Nie unoś się, jeśli łaska!
Ach! u mnie się straszne dzieje:
Turcy siedzą w moim lesie,
Dwa folwarki mi spalili.
Sto baranów mi zabili.

Despotowicz.

Znoś to pro publico bono!

Brankowic.

Gdyby mię tem nakarmiono!
Ale ja umieram z głodu
Dla dobra mego narodu.

Despotowicz (śpiewa na nutę: Skowroneczek sp strzepnął piórka:)

Miłe mogą być i grosze
I dostatki i rozkosze
Ale prawy człowiek przyzna,
Że najmilsza jest ojczyzna!

(na nutę: Du hast die schönsten Augen."

Dać dla niej włości i złoto,
Życie nieść za kraj swój,
Ach to nazywa się cnotą,
To szczęście, ach to cel mój!

Brankowic.

Ach!! – Ja też czuję!
Ja też miłuję
Kraj.
Tylko okazyą mi daj,
A wnet pokażę, żem patryota.

Despotowicz.

A więc na armią daj kieskę złota.

Brankowic.

Nie mam tyle.

Despotowicz.

Jeżeli kochasz kraj,
Ile możesz, tyle daj.

Brankowic.

Oto dwa kaimy

Despotowicz.

Bardzo się wykosztowałeś! (przybliża się do stolika i spostrzega kommotatnik zapomniany przez Sulejmana.) Co to?!.. Podpis Sulejmana?
Zdrajco ty sprzyjasz Turkowi?..

Scena ósma.

Brankowic, Despotowicz, Sulejman.

Sulejman.

Twoja zdrada jest już znana.
Dziś się o niej sułtan dowie!

(Despotowicz i Sulejman stają naprzeciwko siebie, bokiem do publiczności, Brankowic w tyle)

Duet.

Despotowicz. Jakeś ty tutaj wlazł?

Sulejman. A kto się pytać śmie?

Despotowicz. Bodaj cię piorun trzasł!!..

Sulejman. A ty chrześciański psie!!!

Despotowicz. Nie lubię długich spraw.

Sulejman. Ja nie znam żadnych praw.

Despotowicz. Ja prosto przez łeb tnę!

Sulejman. A ja cię w nogi rznę!

Despotowicz. Lecz poco tu krew lać?!

Sulejman. Już się zaczynasz bać!

Despotowicz. Ja się nie boję – stój!

Sulejman. Więc będziem toczyć bój!

Despotowicz i Sulejman.

Lecz najprzód tego
Zdrajcę podłego
Tutaj ukarać potrzeba nam.

Brankowic.

Ach, ach litości!!

Despotowicz i Sulejman.

Niema litości!

Brankowic

Ach, ach litości!!!

Despotowicz i Sulejman.

Niema litości!!

Brankowic.

Ach, ach litości!!!!

Despotowicz i Sulejman.

Niema litości!!!

Brankowic.

Co ja zawiniłem?!

Despotowicz i Sulejman.

Obydwóm służyłeś.

Brankowic

Ach, bo ja stchórzyłem.

Despotowicz i Sulejman.

To poco stchórzyłeś?

Brankowic.

Proszę przebaczenia.

Despotowicz i Sulejman.

Ruszaj do więzienia.–

Koniec

Teatr Wolski.

№ 11.

Dziś we Czwartek, d. 15 Sierpnia 1878
Po raz drugi.

NASZE CZASY

Komedyjka polityczna ze śpiewkami w 1 akcie
K. Górskiego (junior).

Sułtan - - - - - - - - - - - - - - p. Antoni.
Serb - - - - - - - - - - - - - - p. Jan.
Anglik - - - - - - - - - - - - - p. Ludwik
Moskal - - - - - - - - - - - - - p. Konstanty
Polak - - - - - - - - - - - - - - p. Jan.

Rzecz dzieje się w przeszłości i w przyszłości.

W czasie antraktu Koncert wokalny i instrumentalny z łaskawym współudziałem JW. hr. K.

Po raz pierwszy:

ODWAGA CYWILNA

czyli

ZAPOMNIANY NOTES.

Tragikomedya ze śpiewkami w 1 akcie K. Górskiego (jun.)

Szuka Brankowic obywatel w Bośnii - p. Konstanty
Sulejman-basza wódz turecki - - - p. Antoni
Despotowicz wódz powstańców Bośniackich - p. Ludwik
Luka służący Brankowica - - - - - - p. Ludwik.

Rzecz dzieje się w domu Brankowica w czasie powstania Bośniaków.

Zamiast wstępu.

O Marienbadzie i o Goethem.

Piękne bywały ostatnie nasze wieczory w Marienbadzie. Księżyc już bliski był pełni i występował jak złota tarcza z nieba, ~~cło~~, sine, promienne i mieniące zapominało się stroić w jaskrawy blask konstellacyj. Wszystko się tam cudownie łączyło i zlewało: na ziemi było równie sino jak na niebie, a tylko rzucane przez księżyc cienie odbijały żywo od morza światła, srebra, błękitu, rozlewającego się po dolinie, po szczytach gór i spływającego po zieleni świerków. Słowików jedynie brakło wśród cudnej, letniej nocy, lecz zato w bzach miasteczka i w leszczynach boru aż drżało wszystko od poświstu, gwaru i świergotu mniej uczonych śpiewaków. Chętnie więc opuszczaliśmy towarzystwo

pijące herbatę u pani Hortensyi „unter der Sonne"
albo u Stryjostwa Ludwików w olbrzymiem „Tepel-
haus," albo wreszcie i u nas „zur Flora" aby wejść
w ten świeży chłód wieczoru. U Wojewodziny
można było przynajmniej stanąć chwilkę na bal-
konie, gdzie wśród zieleni uśmiechała się, jak su-
chotnica, smutnie i łzawo blada, zapóźniona ró-
życzka, dokąd wiatr przynosił trochę powietrza z
gór, skąd było widać poważne kasztany cichej wie-
czorem „Kreuzbrunnpromenade", powiększone nocą, ozło-
cone, szepcące głucho. Ale u stryjostwa i u nas
było się niby w klatce, gdy cisza i pogoda Boże-
go świata obiecywała nagrodę sowitą za utraconą
część politycznej rozmowy. Myślałem wtedy w duszy, wy-
mykając się z pokoju, co za rok miałem znaleźć w
„Rzymskich elegiach" wypowiedziane dobitnie klasy-
cznym dystychem:

Fraget nach Oheim und Vetter und alten Muhmen und Tanten;
Und dem gebundnen Gespräch folge das traurige Spiel.
Auch ihr Uebrigen fahret mir wohl, in grossen und kleinen

Cirkeln, die ihr mich oft nah der Verzweiflung gebracht. Wiederholet, politisch und zwecklos, jegliche Meinung, Die den Wandrer mit Wuth über Europa verfolgt.....

Dość, że chętnie wybiegałem na dwór i zapuszczałem się spokojną drogą leśną aż do jasnej, otoczonej jodłami i brzozami, Waldquelle i wracałem z przechadzki z lekkiem sercem, z rzeźwą myślą. Piękność księżycowych tych nocy nie napełniała mi, jak zwykle, piersi tęsknotą i nieodgadnionem pragnieniem. Owszem pełna była spokoju: każda noc taka leczyła mię ze smutku i zdawała się mówić jak chłopiec z złotą czarą w balladzie Goethego:

Trinke Muth des reinen Lebens.

× ×

×

Nie wiem, czy to moje osobiste uczucie, ale zdawało mi się, że wielki poeta jaśniej i głośniej niż kiedykolwiek mówi na tej, jeżeli nie niemieckiej to pełnej Niemców ziemi. Niech mi to przekleństwa ze

strony rodaków Vrchlicky'ego na ściąga, ale ten
zakąt Czech między Kruszcowemi górami i Szumawą
wydał mi się raczej germańskim niż słowiańskim
krajem. Ludzie, mowa, szczególne pamiątki wszystko
mi przypominało Goethego: żyłem nim i w nim jedy-
nie. W obszernym ogrodzie naszego domu, istnego
królestwa Flory, siadywałem sobie nieraz w ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ altanie, a kiedym czytał balladę „Ich
kenn' ein Blümlein Wunderschön" patrzyły na
mnie róże, lilie, goździki, fiołki i niezapominajki,
~~[illegible]~~ wszystko, co z uwięzionym rycerzem w poemacie
rozmawia. Lubię tę rozmowę, lubię ten wdzięczny
poemat, powtarzany od <u>XIV.</u> wieku na niemieckiej
ziemi. Odkąd zamknięty przez mieszkańców Zury-
chu ułożył Jan z Habsburga piosenkę w Wellen-
bergu „Ich ~~weiss~~' ein blaues Blümelein", odtąd
śpiewał ~~[illegible]~~ ją lud do końca przeszłego stulecia. Pod-
chwycił z niej początek Bürger; zaczął swoję
pochwałę skromności słowami: „Ich kenn' ein Blümlein
Wunderhold *!" Goethe dopiero dał pieśni urok skoń-

czonej formy, o którym ~~[illegible]~~ marzył ledwo przed wiekami więzień-poeta. — Nie tylko zresztą w ogrodzie ale i na przechadzkach, nawet na tych, gdzie zdarzyło się stryjowi zrzędzić, gdzie wózkami zaprzężonymi osiełkiem jeździła ciotka Paulinka i pani Hortensya, a ja jej cavaliere servente musiałem popychać wehikuł lub kierować upartem stworzeniem, nawet wtedy miałem w kieszeni moją małą ulubioną edycyą liryk i ballad autora „Mignon" i otwierałem ją nieraz. Idąc na spacer przechodziliśmy ~~często~~ pod domem niegdyś Klebelsbergów, obecnie „Hotel Weimar", gdzie w 1821. i 1822. mieszkał Goethe, albo musieliśmy mijać duży ośmiokątny kościół i nieodległą od niego kamienicę o starej poczciwej fizyognomi, zwaną do niedawna „Goldene Traube", przezwaną dziś „Goethes Haus" na pamiątkę jego pobytu w 1823. r. Odpoczynek znów wypadał ~~[illegible]~~ zwykle na miejscu, znanem pod nazwą „Goethes Sitz", gdzie on miał siadać i spoglądać z góry na Marienbad. Do dziś dnia świerki podrosły i zasłoniły kon-

nę z jej białymi domkami. Na miejscu stoi tylko granitowy obelisk z wyrytą na marmurze sławną „nocną pieśnią wędrowca": „Ueber allen Gipfeln ist Ruh"

× ×

×

Mówiłem już, że w ludziach tego kraju szukałem rad podobieństwa do bohaterów „Hermann'a i Dorotei". Przyznaję, że bardzo lubię ten poemat i nie gorszę się wcale szlafrokiem oberżysty, wyznaję, że mię pociąga do siebie ten światek pełen „gemüthlichkeit'u" i spokoju, że lubię takich pastorów, uwielbiałbym taką matkę a nieznajduję bynajmniej, aby Hermann był „mazgajem i nic więcej". Jego sentymentalność nie przeszkadza mi wcale podziwiać mężnej duszy Dorotei i chciałbym gdzie spotkać takie piękne dziewczę:

Und ihr werdet sie bald vor allen Andern erkennen;
Denn wohl schwerlich ist an Bildung ihr Eine vergleichbar.
Aber ich geb' euch noch die Zeichen der reinlichen Kleider:
Denn der rothe Latz erhebt den gewölbeten Busen,
Schön geschnürt, und es liegt das schwarze Mieder ihr knapp an:
Sauber hat sie den Saum des Hemdes zur Krause gefaltet,

Die ihr das Kinn umgiebt, das runde, mit reinlicher Anmuth;
Frei und heiter zeigt sich des Kopfes zierliches Eirund;
Stark sind vielmal die Zöpfe um silberne Nadel gewickelt;
Vielgefaltet und blau fängt unter dem Latze der Rock an
Und umschlägt ihr im Gehn die wohlgebildeten Knöchel...

Wyznaję dalej, że mi bardzo do smaku przypada ta małomieszczańska filozofia, którą przy reńskim winie rozwijają oberżysta, aptekarz i oczytany w Piśmie św. i w świeckich księgach pastor, że pełną piersią oddycham postępowem powietrzem miasteczka. Lubię to zwykłe u Niemców połączenie praktyczności z jakiemś idealnem zamiłowaniem, z zdolnością duchowej rozkoszy, z pociągiem do oświaty, muzyki, z poczuciem piękna w przyrodzie. Lubię, gdy kto po pracy otwiera Szyllera, bo niestety tylko Szyller, Goethe lub Lenau bywają czytani wieczorem przy kominku, w niedzielę po południu w altanie... Mickiewiczowi się to rzadko zdarza: czytuje go z zachwytem uczeń, akademik już tylko deklamuje na obchodach, ojciec rodziny spogląda na oprawę książki...

W domu zaraz, gdzieśmy mieszkali, była rodzina, która

czytywała poetów i nęciła mię urokiem spokoju, pracy, zadowolenia ze świata. Gospodarz nasz pan Skalnik, nazwiskiem Czech, usposobieniem i powierzchownością Niemiec, był jej głową i ozdobą. Był to stary ogrodnik, który zaczął z niczem i dorobił się na bukietach i kwiatach znacznego majątku. Jedną ze swych kamienic, tę w której nas los pomieścił, nazwał „zur Flora" i nie przestał się zajmować pomimo wieku obszernym swym ogrodem. Miał twarz dziwnie ujmującą i miłą, włos bieluteńki, trzymał się dość dobrze i prosto. Nie zrzędził na robotników i nie gniewał się pewno nigdy, chyba na synów dobrych chłopców ale wielkich swawolników; miał zato baczne oko na wszystko i sam co rano obrywał przekwitłe kwiaty i suche listki ze sztamowych róż. Rozmawiał ze mną uprzejmie i dość chętnie, dawał mi kwiaty i zapraszał mię do obejrzenia swego mineralogicznego zbioru. Bo on, chociaż pracował na chleb i dorabiał się z niczego, miał i czasu i ochoty dosyć, aby się jednej ulubionej nauce oddać i nie zubożał, choć czasem grosz zapracowany na kupno okazów obrócił. Czy to nie pięknie, mądrze, praktycznie? Czy taki staruszek nie jest śliczną,

idealną postacią, czy jej nie ożywia duch „Hermanna i Dorotei"? Jam starego ogrodnika podziwiał i szanował, pomny na dwuwiersz Goethego:

Pani Skalnikowa krzątała się więcej około kuchni i pokojów gościnnych, z pękiem kluczyków, w świeżym fartuszku, w czepku tiulowym białym, który ślicznie ujmował w ramki jej uśmiechniętą, ściągłą, drobną, pomarszczoną twarzyczkę, oświeconą parą żywych, piwnych oczu. Zabiegliwa, czynna, dobra jak oberżystka z pod złotego lwa, miała ona jakiś filuterny uśmiech na twarzy, który odmładniał jej zmarszczki i włos posrebrzony.

Mieli staruszkowie córkę. Nie wiem jak jej było na imię: ja nazywałem ją Florą od domu jej rodziców „zur Flora." Przystawała do niej ta nazwa lepiej niż do glinianego posążka bogini, co stał u wejścia śród kwiatów. Była uosobioną wesołością, swobodą i młodością. Miała oczy żywe i uśmiechające się jak matka, była biała i rumiana, pełna zdrowia i świeżości, czynna, ruchliwa i zgrabna jak fryga. Z czerwoną

różyczką we włosach uwija się po domu i cieplarni, słychać często jej głosik dźwięczny i wesoły. Krząta się ciągle; jeżeli się nie śmieje, to śpiewa... Twarz ma nawskróś dziecinną, nie znać na niej żadnej troski, żadnych przejść i zawodów, ani na ręku nie widać, jak u Dorotki, pierścionka. Jeżeli ~~jego~~ ~~nie~~ bohaterki przypomina usposobieniem, to jest w niej podobieństwo do pierwszych ideałów Goethego: twarzyczka dziecka, jak u Kätchen Schöneman i niby urok sławnej Lili, która, jak to dziewczę królowała w ogrodzie..

Z całą rodziną był bardzo miły stosunek. Otaczali nas wszyscy troskliwością, uprzejmością i uważali serdecznie i po prostu za gości. Zamiłowanie moje do niemieckiego „Stilleben" wzmogło się wśród tych zacnych ludzi, a ~~wspo~~-wspomnienie po nich zostało jak najlepsze.

× ×

×

Pamięć ~~w~~ o Marienbadzie żyje także i kwitnie. Przechadzki, spokojne przypatrywanie się ludziom i ich zrogom, studyowanie obyczajów niemieckich, czytywanie Ouidy z panią Hortensyą, słuchanie muzyki w południe u

Waldquelle, wieczorem przy Kreuzbrunnie - oto na czem upływały chwile. Gdy więc stryj Ludwik poruszył zamiar podróży do Monachium, oczekiwałem jéj w gorączkowem marzeniu, ale żegnałem się uroczyście z Marienbadem. W wilię wyjazdu, w taką niebywałej piękności noc księżycową jakie następowały wówczas stale po dniach pogodnych, chodziłem nie bez żalu po placu Franciszka Józefa, słuchając ćwierkających ptaków i szumu fontanny....

Z wzruszeniem myślę dziś o wieczorze, kiedy mi się marzyło o posągach i obrazach i plątały się ustawnie po głowie słowa: „Monachium to Ateny", kiedy drżałem na myśl poznania greckiego Piękna i widziałem w myśli nieziemskie cuda.. Rzeczywistość odpowiedziała nadziejom. Podróż do stolicy Bawaryi miała tylko jednę wadę: trwała za krótko. Zresztą towarzyszyła jéj pogoda i losy sprzyjały. Mnie zaś, rozkołysanemu poezyą Goethego, zdała się ona ilustracyą do najpiękniejszej jego pieśni, do śpiewu Mignon, wyrażającego wieczną tęsknotę serc ludzkich za krajami piękności i wiosny.

Kraków. 16-go Czerwca 1881.

Ranek w dzień wyjazdu był śliczny: świeży, jakby jeszcze na pół senny, a słoneczny. Ile razy go wspomnę, nasuwa mi się na myśl pierwsza zwrotka „Zueignung" Goethego a i ona zrosła się z obrazem zielonych Marienbadzkich pagórków, kąpiących się w blaskach i w perlistej rosie:

Der Morgen kam; es scheuchten seine Tritte
Den leisen Schlaf, der mich gelind umfing,
Dass ich, erwacht, aus meiner stillen Hütte
Den Berg hinauf mit frischer Seele ging;
Ich freute mich bei einem jeden Schritte
Der neuen Blume, die voll Tropfen hing;
Der junge Tag erhob sich mit Entzücken,
Und alles ward erquickt mich zu erquicken.–

Rzeczywiście było coś dziwnego w tym ranku, którym natura zdawała się popisywać przed nami jak codziennie nocą. Zanim opuściłem gościnny dom „zur Flora", poszedłem się z jego gospodarzami pożegnać. Było to przed szóstą rano: staruszek spał jeszcze, wyszły do mnie tylko matka i córka. Pocałowałem starą w rękę i uścisnąłem dłoń panny Flory, która ~~[illegible]~~ potem, już przy wyjściu, wybiegła za mną ~~[illegible]~~ do bramy niosąc bukiecik z róż świeżo zerwanych i związanych przez nią na prędce...

Pośpieszyłem do „Tepelhaus", gdzie czekali towarzysze ~~[illegible]~~, łaskawy tej (podróży artystycznej) Mecenas, stryj Ludwik i Tolo. Zarząd domu przysłał Stryjowi duży bukiet, ~~[illegible]~~ pewno mniej bezinteresowny dar (od moich białych i różanych pączków. Wśród pożegnań i napomnień niespokojnej cioci wsiedliśmy do powozu mającego nas zawieść na kolej.

Marienbadzcy chorzy podążali dopiero do zdrojo-

wisk i ranek był stale świeży i cichy. Tylko na świecących łupkowych dachach błyskały białą piersią tysiące jaskółek i bijąc skrzydłami upominały się głośno o powrót do cieplic.

A myśmy właśnie podążali na południe...

x x

x

W wagonie chwilą ciszy pożegnaliśmy skrywający się za górami Marienbad.

Gdy się rozmowa zaczęła, wmięszał się do niej niebawem męszczyzna 50-letni, naprzeciwko mnie siedzący: zachęciła go zapewnie nasza mowa, której dźwięk dziwnie miłe brzmi zagranicą dla polskiego ucha. Jechaliśmy do Monachium, na międzynarodową wystawę rzeźb i obrazów, w wagonie wisiały karty) (ogłoszające o jej otwarcie - rzecz prosta, że przedmiotem rozmowy stała się

Ta sfera sztuki, jak ją tłum nazywa,

Wieczyście piękna, wieczyście prawdziwa...

rozmowy, prowadzonej jednak w sposób zupełnie inny

niżbym był tego pragnął. Miałem głowę tak nabitą tymi cudami ludzkiego geniuszu, których nie znałem jeszcze, tak radbym o nich coś usłyszeć i przygotować się na ich poznanie. Stryj zaczął z nieznanym rodakiem ważyć i powtarzać to jedno słowo: „sztuka": czyżby mię nie mógł nauczyć i oświecić..? W tych płótnach, które mam ujrzeć, w bladych twarzach posągów musi być jakaś wielka, świeża, nie łatwo uchwytna myśl: powinni by ją nam ci starzi poważni rozjaśnić, wydobyć z osłony i ukazać... Wszak oni doświadczeni i znawcy, wszak my mamy prawo ich pytać, obowiązek im wierzyć.. Ale oni wolą tę piękność nam nieznaną obniżać i ohydzić, wolą choć doświadczeni i biegli zdzierać z niej świętość; oni – starzy, nie chcą pamiętać, że poza obrębem ich widzenia jest inne, świeże, gotowe do podziwu pojmowanie świata, że oni sami byli kiedyś młodymi. Ideałem człowieka byłby według mnie ten, coby zdołał rozumieć młodość a był umysłem

stary i pomniał zawsze na to, że się różnorodnie inaczej do
wieków ludzkich mówi.... Moi towarzysze mówili
o złych skutkach, o wybujaniu sztuki kosztem
innych zadań narodu, a Stryj powtarzał swoją
zasadę, że wiara i byt materyalny oto dwa
filary siły ~~społeczeństw~~... Wszystko inne – to
zabawka, błahostka, nic... Mówiąc to, zapominał
Stryj, że wiezie nas do Monachium, albo
chciał być podobnym do przewodnika, co wiedzie
strudzonego wędrowca do świątyni pogańskiej aby pełen oburze-
nia na wiarę i obrządek skruszyć białe
bóstwo, dzieło jakiego Fidiasza... Jest w tem jakieś wy-
szukane barbarzyństwo, jakiś fanatyzm wanda-
lizmu, aby pokazać piękność i plunąć jej w twarz.
Nazywają to miarą, zapobiegnięciem zbytecznym,
jednostronnym uniesieniom... Gdyby się kto zastanowił,
jak rzadką jest rozkosz szlachetna, tenby jej nie
psuł i nie przerywał, ale przechodząc obok cieszą-
cych się pięknością, rzekłby im z Horacym: „carpe
diem" i radowałby się w sercu ich zachwytem

Stryj zapominał, że piękność nie jest ułudą ani morską pianą, a tęsknota za nią chorobliwym stanem duszy, zapomniał, że szczęśliwe są to ludy i czasy, gdzie filary społecznej siły piękno jak bluszcz oplata i wiąże. Zapomniał, że smutno i źle jest na świecie, odkąd wołają: „Prawda! Dobro!" a tłumy już nie znają słowa „Piękność" i ludzie dławią się twardym, suchym chlebem pożyteczności, nie śniąc o niczem we śnie i na jawie... Słuchałem słów Stryja ze smutną myślą, że on jest jednostronny nie ja, z przykrem uczuciem dysharmonii i nierównowagi...

Wspomnienia z szkolnych czasów

I.

„Niepoprawni" J. Słowackiego na scenie krakowskiej

Było to w lutym, czy marcu 1878 r. – Antonina Hofman, która już przedtem wprowadziła na scenę „Beatrix Cenci", stworzyła niepospolicie obmyślaną i odczutą kreacyę w roli Balladyny, ośmieliła się grać Rozę Wenedę, pani Hofmanowa wybrała sobie na ten rok „Niepoprawnych" na benefis. Jeżeli sztuka ta nie jest arcydziełem, to arcydzieło stanowią pierwsze dwa jej akta. Scena np. druga drugiego aktu należy do najgenialniejszych, bo najrzewniejszych, najprostszych, najprawdziwiej oddanych ustępów w teatrze Słowackiego, a może i w teatrze świata. – A powiedziałbym nawet, że z pewnego punktu widzenia wzięty jest i ten cały dramat dziełem niezwykle pięknem. Potrzeba tylko zapomnieć o tem, że dzieli się on na akty, potrzeba uważać go za historyę dziwną, a prawdziwą.

słuchać jej jak zdarzenia z życia, albo wreszcie widzieć w tem sen piękny o dwóch duszach młodych, duszy wojaka, a wygnańca potem i duszy dziewicy-Polki, którą gnębi wszystko nawet atmosfera domowego życia, zamkniętego w półfantastycznie zdobnym, pół walącym się podolskim pałacu. – Wszystko w tym śnie śliczne, cudowne trochę, wszytko oświecone tem łagodnem słońcem, co mary senne naszę ~~[illegible]~~ rozjaśnia; a o zupełnie ściste powiązanie obrazów, o prawdopodobieństwo ~~[illegible]~~ wszystkiem niech się nikt w sennem widzeniu nie upomina. Jest ono przed nami z całym tym wdziękiem i urokiem, co dnie długie ~~[illegible]~~ roskoszą napełnia, jest trwałe, niezapomniane; tylko Słowacki umiał w poemacie swoim nie uronić nic z ciepła, z radości takiego snu złotego.

Sztuka tego rodzaju potrzebowała osobliwego nastroju artystów i harmonijnego doboru. Rolę Fantazego powierzono też p. Bolesławowi Ladnowskiemu, który szereg gościnnych występów w dniu benefisu pani Hofmannowej rozpoczął.

× × ×

Podniosła się kurtyna. Na dywan obszernego salonu wkroczyli hrabia Fantazy i marszałek Rzecznicki. Odmienni to ludzie. Hrabia, który według ulotnej wzmianki p. Zatheya, ma być na wzór Zygmunta Krasińskiego modelowany, to dziwak i poeta potroszę, człowiek chcący być bohaterem poematu, a w dramatyczność życia swego napoły tylko wierzący, bo, choć obfituje ono w tragiczne momenta, czuje Fantazy, że nie wir ich jego ogarnia, ale on sam się w nie rzuca. Miałby uczucia wiele, gdyby go na sztukowanie serca nie zużywał. Lubi on jednak czuć się wyższym i głębszym od drugich i w tym to zapewne celu włóczy on za sobą Rzecznickiego, którego pieniędzmi własnemi na urząd marszałka szlachty wyniósł. Rzecznicki był już z natury chodzącą prozą, ale zrozumiawszy swą rolę wobec Dafnickiego, stał się wieczną negacyą zapału i krzycząc zawsze „czarno!" gdy Fantazy wołał „biało!" pozwalał hrabiemu czuć się o całe niebo wyższym od swego

towarzysza. Obydwom więc dobrze ze sobą: jeden ma zapewne sute dochody a w każdym razie protekcyę hrabiego, drugi mając wiecznie przy sobie istotę, co się systematycznie niższą od niego okazuje, może się uważać za tragiczną, wyższą od otoczenia postać, a nadto, kiedy mu ochota przyjdzie kpać swoją kreaturę i jeszcze, kiedy potrzebuje się wygadać czasem (bo ta strona poety rozwiniętą jest w hrabi), ma pod ręką uszy, o których myśleć mu wolno, że go słuchają i pojmą.—

Bolesława Ładnowskiego przywitano oklaskiem. Charakteryzacyą zaraz i sposobem chodzenia dowiódł on, że pojął rolę znakomicie i stworzy kreacyą jednolitą, godną stanąć obok ról Królikowskiego. Rzeczywiście wysunął on naprzód szczególnie wysoką arystokratyczną dystynkcyą hrabiego, którą mistrzowsko połączył z rodzajem byronizmu i chorego romantyzmu. Sceny, gdzie przebija uczucie, bądź nieśmiałe jak w scenie z Rzecznickim pod koniec pierwszej odsłony, bądź nieco waryackie, gdy chcę Italią odbić, bądź wreszcie

śmiałe, prawie o sobie zapominające jak w akcie V, wyszły mistrzowsko. Scena oświadczyn a zwłaszcza opowiadanie o poznaniu Idalii w drugiej odsłonie Igo aktu, były arcydziełami finezyi, elegancyi, fantastyczności zarazem. — Co się charakteryzacyi tyczy, to zdaje mi się, że artysta miał zamiar stać się do autora „Irydiona" podobnym, a w scenie z Rzecznickim (I odsłona I aktu) mówiąc ustęp:

Prawdę ty mówisz, same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie jak u dzieci.....

przybierał pozę zbliżoną do tej, jaką ma Krasiński Zygmunt na portrecie Leona Kaplińskiego. W tejże scenie przy słowach:

Słuchaj, ta Dyanna dumna

przypominał postawę autora „Nieboskiej Komedyi" na portrecie Ary-Szeffera. —

Rzecznickiego grał pan Lucyan i wbrew zdaniu pism miejscowych i obcych, należy mu się za tę rolę pochwała. Postawa, maska, głos, ruchy dobrze odbijały od elegancyi, dystynkcyi, pełnej wytworności

intonacyi Ładnowskiego. Bo też wyraz tych oczu, błądzących w koło dumnie, to cieniowanie słów, ta wytworność ruchów, to mistrzowskie laisser-aller trudno opisać. Bolesław Ładnowski grał z zdumiewającą siłą a miarą zarazem.

Z kolei przybywali na scenę państwo Respektowie i ich córki. Sam gospodarz, dziwna mięszanina miłości i słabości, uczucia i małoduszności, nieokreślony trochę i od sądów wolny jest taki dziwny jak tylu mu podobnych w życiu. Pan Tarnowski, zdawałoby mi się, poniża go zanadto i w zbyt oryginalny sposób tłomaczy jego wygnanie na Syberyi. Hr. Respekt to pieniądz z dobrego aliażu, ale się w życiu zbyt zgładził i stempla pozbył. – To nie zły człowiek, to słaby półmagnat, podolska, ociężała natura, to człowiek, co czyniąc źle z braku charakteru oczy sobie zasłania, by go nie widzieli ludzie, by sam swej drogi nie ujrzał. On miewa chwilę uczucia, dla nich to jęczał w Sybirskiej stodole, on teraz cierpi,

ale nie zapomina na chwilę o swym oryginalnym sposobie mówienia, ale sadzi mitologię i umie przyszłego zięcia pocieszać po stracie wyżła i wtrącić przytem słowo o marjażu. – Hrabina to kobieta nie zła, ale bardzo głupia, bardzo źle wychowana. Z początku więcej w niej egzaltacyi fałszywej, potem występuje w niej jawniej ograniczenie i złość i przebiegłość o tyle, o ile są koniecznemi towarzyszkami głupoty. Charakter to w ogóle mało rozwinięty i z tego powodu trudny do uchwycenia i oddania.

Dyanka ta z czarnemi oczyma jest dziewicą-Polką w całym blasku miłości najczystszej i najsmutniejszej, w całym blasku poświęcenia cichego na zawsze, cierpienia od dzieciństwa, wygnania za młodu. Ale nie jest się nigdy bezkarnie dzieckiem ludzi o spaczonem sercu: w Dyannie jest odcień egzaltacyi, do którego ma zapewne prawo; niema (ona) tego serca równie wzniosłego jak czystego, równie czystego, jak nigdy nie podległego goryczy, jakie posiada Stella... Ale Dyanna tem biedniejsze dziewczę.

Stella jest może najudatniejszą postacią pół-dziecinną, pół-kobiecą jaką znam. Niema równej sobie ani w Słowackim ani w Mickiewiczu kreacyi, z Amelią chyba z „Horsztyńskiego" rywalizować może. To jest ideał, ta Stella, a taki prawdziwy i prosty, tak mistrzowsko z praktyczności i poezyi, z ciepła i podniosłości, z naiwności i mądrości złożony. – Ale przejdźmy do artystów.

Pan Szymański w roli Respekta był nadzwyczaj poprawny, bo i dystyngowany, grzeczny i banalny i szlachetny chwilami. Scena odebrania wiadomości o śmierci dziadka może służyć za wzór prawdziwego oddania gwałtownych uczuć.

Pani Bronisława Wolska grała dobrze hr. Respektowę, a pani Siennicka prawdziwem uczuciem zwłaszcza w scenie z Fantazym (2 odsł. I aktu) odpowiedziała wysokości roli. O pannie Felicyi Stachowiczównie [redacted] w roli Stelli pisał obszernie Antoni Zaleski w „Przeglądzie polskim." Ja tylko [redacted] powiedzieć muszę, że memu ideałowi Stelli młodziutka wówczas,

szesnastoletnia może artystka odpowiedziała zupełnie. W białą tarlatanową suknię ubrana, piękna, wdzięczna, miała cały urok owej skromności i prostoty, która niewie, że ją podziwiają, owego talentu, co jej o sobie samej zapominać każe. Panna S. była w swej naiwności zachwycającą, pełną prawdy i uczucia – umiała wszystkie pąki kwiatów rozsypane po roli rozwinąć, a jednak nie straciły one świeżości swojej.–

Major Woldemar Hawryłowicz, postać z jednej bryły ukuta, od wejścia na scenę aż do ostatniego zapadnięcia kurtyny jedna i ta sama, [redacted] jest osobą w dramacie (najlepiej obok Idalii) przeprowadzoną. Jeżeli w ogóle „Niepoprawni" muszą zadziwić każdego znawcę dzieł Słowackiego kompletnym brakiem reminiscencyj, to postać Majora oryginalniejszą jest jeszcze od innych bohaterów dramatu; [redacted] jeżeli [redacted] w tym utworze popisuje się autor znakomitem cieniowaniem charakteru i umiejętnem łączeniem sprzecznych nieraz stron serca ludzkiego (np. hr. Respekt, Stella, Fantazy) to w osobie Majora największego mistrzowstwa

dał dowód tworząc z dobroduszności, braku oglądy, śmiesznego pozornego ograniczenia, głębokiego potężnego serca, tragiczności ukrytej i wielkiego tego rozumu, które daje serce czuć i poświęcić się zdolne, tworząc człowieka z krwi i kości. Rola ta tak złożona a jednolita, tak podniosła a z realizmem oddana przypadła panu Rychterowi, a sądzę, że musiała mu przypaść do smaku. Józef Rychter największym jest mistrzem w oddaniu tych tragicznych charakterów, którebym nowo-romantycznymi nazwał, a które polegają na wielkiej duszy pod rubaszną, niepozorną formą. – Wrażenie też czynił ogromne od chwili kiedy w zielonym mundurze, siwy, wszedł i stanął przy drzwiach, bojąc się, by go nie zechcieli poznać hrabstwo, skoro go już nie potrzebują. – Scena wypytywania się o znajomych z Syberyi wypadła prześlicznie za co się jednak wdzięczność nie tylko p. Rychterowi należy. Winniśmy ją i artystkom grającym rolę Stelli i Dżanny, winniśmy ją oczywiście poecie. Co za idealne światło rzucają urywane słowa tej sceny na działalność pocieszającą, i łagodzącą,

rozgrzewającą ~~Polek~~ dwóch na Sybirskim śniegu. Pozostały po nich 3 krzyże, śpiew szczygłów i smutek gilów, pozostała z żalem jakaś poczciwa a prosta Moskiewka, pozostał młody Polak „piękny jak Michał „anioł, na obrazie", biedny aresztant, co w 30^tym roku z kosą wzięty był. A jakie pyszne były żałość i oburzenie Majora, kiedy mu się ów powstaniec skarży na przyjęcie i na los swój, jak go niezręcznie a czule pocieszał, że piękniejsze są dziewczyny na Syberyi! Jeżeli jednak chodzi o chwile, w których teatr niepomny wszystkiego nie śmiał i nie umiał klaskać, to do takich należały słowa: „wrot, wrot, polskije grafy!" i cała scena śmierci, po której powtarzałem sobie tylko: „Rychter, co to za genialny człowiek!" Wspomnę zwłaszcza chwilę, kiedy Majorowi wodę przynoszą do picia. ~~[illegible]~~ Podniósł się z mogiły i drżący zaczął pić, ze znużenia słaniając się: był to szczyt realizmu, którego z taką miarą umie używać Rychter.

Niebawem wystąpił Jan, w baszkirskim stroju. Bardziej idealnej postaci polskiego rycerza, kosyniera stworzyć nikt nie zdołał, w nim też miłość czysta, podno-

szęca znalazła najwyższy wyraz. Potępiający wyrok zapadł na te uczucia nieziemskie dwóch dusz marzących tylko i daremnie o sobie. –

„Erinnr' ich mich doch spät und früh
Des lieblichsten Gesichts,
Sie denkt an mich, ich denk' an sie
Und beiden hilft es nichts."

Czterowierszem tym scharakteryzował Göthe miłość ową niepraktyczną i naprzód na śmierć skazaną. A jednak chociaż na ziemi nie osiągnie ona celu i szczęśliwej chwili nie zobaczy, jest ona potrzebną i wierzę, że miłość taka będzie zawsze na świecie. I naszych bohaterów podtrzymuje ona i uszlachetnia. On siaduje w Syberyi nocą na mogilniku i patrzy w nieboskłon jarzący blaskiem północnych konstellacyi, wsłuchuje się w harmonijną pieśń tej cichej nocy. A we dnie przy pracy, pociesza, podnosi, nawraca ku Prawdzie Majora. Ona grywa wieczorami waryacyę Hummla na fortepianie i myśli o „owym domu z postacią upiora, całym sybirską zorzą purpurowym,"

gdzie widywała się z Janem. Z murów pretensyonalnie ozdobionego pałacu idzie na wieś, do chaty. I ona tu także znajduje serca, które pocieszać, ciała, które leczyć trzeba – wieśniaczki cisną się do niej, trzyma im dzieci do chrztu i chłopcom daje imię: „Jan". A w każdy piątek i w każdą niedzielę dłużej i goręcej niż codzień modli się za aresztantem, co w pamięci jej stoi –

z brylantem

Jej łzy, co mu się w oczach mglistych kręci
Próżno roniona... –

W modlitwie i w pociesze strapionych spotykają się ci szlachetni. – „Ale" mówił Leonard Rettel, człowiek który dźwiga 49 lat emigracyi na sobie, wspomnienie napadu na Belweder, mąż wielkiego serca, równie wielkiego rozumu, przypominający Sokratesa głową, a pewno do niego prostym obrazowym sposobem mówienia podobny, „ale" mówił on „ktokolwiek się za młodu egzaltował prawdziwie do czegoś pięknego i wzniosłego ten przedmiot miłości swojej zawsze odnajdzie."

Marzenia Jana i Dyanny urzeczywistniły się, nie wszystkie pewno, ale prędko i tak jak pragnęli. Szlachetni pójdą w świat razem. –

Jana grał p. Sobiesław (Bystrzyński) z większem niż się to u niego zazwyczaj spotyka uczuciem i przejęciem. Po roli szlachetnego młodzieńca z „Dwóch sierot" Dennerego jest to może najlepsza jego dramatyczna rola. – Uczucie było też prawdziwe i samo płynące z serca. Jeżeli wykończenia szczegółów brakło, to dużo było śmiałości w zarysowaniu postaci.

Hrabina Idalia to osobistość trudna do rozpoznania i określenia: dzisiaj już takich niema. Nie wdaję się w rozbiór jej charakteru, trzebaby bowiem na to znać dobrze epokę i wiele na to czasu i miejsca poświęcić, powiem tylko, że mojem zdaniem jest w każdym razie osobą pełną rozumu i serca, a jako utwór fantazyi posiada niepospolite u Słowackiego zaokrąglenie i psychologicznie jest utrzymaną do końca. Pani Hofmanowa umiała pogodzić namiętność niezwykłej, uczuciowej kobiety, z dystynkcyą wy-

kształconej towarzyszki, przyjaciółki, kochanki Fantazego. Ubrana w pełną gustu, skromną, czarną suknię, z ponsową różą u piersi, rozwinęła wielka artystka całą swą grę fizyognomii, ~~swą~~ całą godność swych królewskich ruchów i całą swą klasyczną deklamacyą. Nic jej nie ująć, nic nie dodać.... Wieńce i huczne oklaski posypały się za wejściem pani Hofmannowej na scenę. –

Kiedy już mówimy o wszystkich osobach dramatu, wysuńmy z kępy drzew zielonych pustelnię księdza Logi. Piękny staruszek. Kilku słowami daje się poznać. Szlachetny jest i Boży mąż: cierpiać musiał wiele, dziś spokojnie tej duszy, która już bliska jest Nieba... Rysy te umiał zebrać i oddać z wdziękiem pan Feliksiewicz, ucharakteryzowany poważnie a ~~[illegible]~~ sympatycznie.

× ×

×

Za najtrudniejszą rzecz uważam przedstawienie atmosfery domowej, oddanie jej z prawdą – odtworzenie tego powietrza, które się nasyca oddechem ludzi w niem żyjących. Otóż właśnie atmosfera domowa pp. Respektów

odbija się tu w każdym niemal słowie. Oni sami i „niepoprawni" Fantazy i Idalia są oddani z jakimś przedziwnym, objektywnym realizmem. Stoją między tragedyą a karykaturą jak tylu ludzi w świecie. To jest dramat życia, z fałszywymi zapałami i niskością ducha, z boleścią w śmiesznych kształtach, ze szczerem poświęceniem i z dziwnymi liliami miłości i dobroci, które są nie mniej prawdziwe na świecie, od błota na którem wzrosły.

× ×

×

Kiedyśmy patrzyli z loży na dramat Juliusza, na ziemię spadł śnieg a potem wypogodziło się znowu. Wychodząc na rynek ujrzeliśmy na olbrzymim dachu kościoła Panny Maryi srebrną powłokę. Środkiem nieba stał księżyc tęczowy, który nas odprowadził po głuchej ulicy św. Jana do domu.

(Pisane 21 i 22 Lutego 1881).

II.

Jacek Malczewski. –

Kiedy w roku 1876 w Lipcu byłem w Krakowie z rodzicami, jednego wesołego niedzielnego poranka ujrzałem dwóch ludzi, których w oczach moich blask sławy i talentu oświecał, a którzy mieli mi potem dziwnym zbiegiem okoliczności być bliscy i życzliwi. – Po prześlicznem kazaniu ks. Zygmunta Goliana, które tem silniejsze robiło na koroniarzach wrażenie, że najmilszy uszom polskim wyraz „ojczyzna" odbijał się nieraz o sklepienia kościoła, poszliśmy na ulicę Grodzką do mieszkania Lutka Mycielskiego, które było wówczas i biórem redakcyi „Przeglądu Polskiego." – Do śniadania, które uprzejmy gospodarz zastawił siadł ksiądz Jan Koźmian i młodzieniec 24-letni, o bladej twarzy i zwracających na siebie uwagę oczach. Było z opowiadań gospodarza znany

towarzystwie młody malarz, [redacted] Jacek Malczewski. Autor „Unii lubelskiej" powiedział o nim: „Jeżeli ja jestem Matejko, to on podwójnie Matejką będzie." Ale artysta młody mówił mało i prócz tego słowa [redacted] nie wyniosłem nic [redacted] o nim w pamięci.—

Wtenczas to także przesunął mi się przed oczyma człowiek, który miał mię wiele nauczyć, wiele dać miłości, nieraz swe serce przedemną otworzyć, którego miałem pokochać, [redacted] uszanować (i chcieć być mu podobnym), człowiek młody a pełen doświadczenia, otoczony podówczas ogólnym podziwem, życzliwością, człowiek à la mode w najwyższych salonach, jako pisarz niepospolity, żywioł świeży i odżywiający. Przez pokój przeszedł wtedy profesor Zathey, redaktor „Przeglądu Polskiego."

x x

x

Wróciłem niebawem do Królestwa i wdziałem z dumą ale nie bez smutku mundur ucznia gimnazyalnego, granatowy i srebrny.— Pod koniec mego pierwszego roku szkolnego w IV gimnazyum w Warszawie nadeszła

wieść o otrzymaniu zwolnienia z poddaństwa rosyjskiego. I znowu z weselem, że do polskich szkół idę, ale nie bez [redacted] żalu za Warszawą, Józiem i Melunią Weyssenhoffami, za niejednym kolegą i wszystkimi nawet, skazanymi na naukę rosyjskiego języka i literatury, zdjąłem z siebie mundur granatowy po dniu uroczystego zamknięcia szkolnego roku. Z świadectwem przebytych 4 klas w Warszawie ruszyłem do Krakowa, gdzie mi dom i serce gościnnie i szeroko otworzył p. Zathey.— Malczewskiego [redacted] zobaczyłem w dwa lata dopiero, po półtrzecia roku poznaliśmy się bliżej, aż (wspomnienia) na wiosnę 1880 roku rzucił mi jasne blaski [redacted] przyjaźni i wesołości, [redacted] blaski dotąd niezagasłe i żywe.—

x x

x

Ksiądz Jan Nepomucen Siemieński, któremu nie był żaden młody obcym, a który zajmował się zarówno sztuką jak nauką i przyrodą, otaczał się chętnie artystami i ludźmi nauki wziął Malczewskiego

w tem większą kuratelę, że był jego krewnym dalekim. Wyrwał go on z pracowni, gdzie sypiał w niezdrowej atmosferze farby i oleju, ugościł u siebie i zajął się nim troskliwie. Młody malarz był już wiele drogi zrobił od chwili, kiedym go po raz pierwszy widział. Zerwanie stosunków z Matejką, który go w kierunku nieodpowiednim jego powołaniu zamierzał prowadzić, stało się przyczyną wielkich zmian w duszy artysty. O ile wiem rzucił się on wtedy w malarstwo idealne, mówiono, że ilustruje „Anhellego" co mu poważne głosy za złe poczytały. Z tej to zdaje się epoki pochodzi główka dziewczyny z okolic Krakowa, będąca własnością p. Zatheya. Jestto szkic kredką na kawałku papieru zrobiony, posiadający jednak niepospolite zalety: poezyę, prostotę, duszę mówiącą głośno z oczu i całej twarzy. Szkic ten dał mi w epoce, gdym jeszcze nic prawie pięknego nie widział, pojąć, jak można się zakochać w obrazie.

Z Paryża, gdzie rok bawił, przywiózł Malczewski

tę umiejętność modelowania, która nadaje zupełną wypukłość jego obrazom, ale zarazem realistyczne nawskroś dążenia. Z epoki tej przypominam sobie głowę Tuska pod tytułem „Kabyl" widzianą na wystawie towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Krakowie. Była to rzecz pod względem techniki doskonała. — Dwie dziewczyny wiejskie, które następnie zrobił zniszczyły jego dobre imię. Jedna z nich była rzeczywiście obrzydliwa; była najpotworniejszym owocem realizmu. Druga mniej brzydka nie miała już owej poezyi, którą Malczewski posiadał w życiu, a którą dawniej umiał nadawać swym obrazom. Obydwa te płótna dostały się mimo woli autora na wystawę, a to w sposób następujący. Zrobiwszy te obrazy chciał je Malczewski u siebie zachować; ale brak pieniędzy zmusił go do udania się do p. Aleksandra Krywulta, który malarzom ram do płócien dostarcza a zarazem, znając stan każdej artystycznej kieszeni, zwykł w krytycznych dla malarza okolicznościach kupo-

wać dzieła jego pracy i natchnienia - za marny pieniądz. Z tych dwóch przyczyn „oprawcą malarzy" go zowę. Zmuszony sprzedać p. Krywultowi owe dwie dziewczyny (jedna z sierpem na ramieniu, podparta pod boki, druga z koszem jarzyn na głowie), prosił przynajmniej dobroduszny artysta, aby się nie ukazały na wystawie. Więcej o interes niż o sławę malarza dbały kupiec nie zważał na jego prośbę. Wystawione na widok publiczny zepsuły te płótna to, co sobie Malczewski talentem i pracą zdobył: zaczęło się kamienowanie młodego artysty.

Nie upadł on na duchu i pracował dalej, wierząc w swą zdolność i wiedząc, że się po stopniach Prawdy idzie do świątyni Piękna. - Wtedy to zabrał go do siebie ks. Siemieński i w jego to mieszkaniu, na trzeciem piętrze w pałacu Puszeta, przy Starowiślnej ulicy, w mieszkaniu owem pełnem ksiąg i kwiatów, z rozległym widokiem na Zamek Wawelski, Karpaty i Podgórze, poznałem po raz drugi i widywałem Jacka.

Wieczór literacki, na którym był Odyniec, Asnyk, Zathey, Łuszczkiewicz, ks. Stojałowski zbliżył nas do siebie: byliśmy najmłodsi w gronie, a on jako krewny gospodarza, ks. Jana, czuł się w obowiązku zajmowania się mną. – Parę wesołych godzin spędzonych zawsze u księdza, mnóstwo żartów i odcinków, przycinków skierowanych przeciw temuż, wspólna dla Słowackiego cześć i jego obrona przed ks. Siemieńskim, który ~~[illegible]~~ tylko Krasińskiego uznaje, moich kilka wierszy ułatwiło powoli bliższe między Malczewskim a mną stosunki. Nadeszła wiosna 1880 r., zaczęły się po rynku krakowskim uwijać chłopcy z bukietami fiołków, które witano ochotnie i płacono hojnie. W piękne popołudnie spotkałem Jacka na Plantach; szedłem do klasy, nie mogłem z nim długo rozmawiać, dał mi więc tylko wiązankę fiołków woniejącą wiosennie i świeżo. Po drodze do szkoły ułożyło się podziękowanie rymem; wieczorem bezimiennie poszło pocztą do malarza. – Jacek dziękował mi za wierszyk i ściskał: odtąd zaczął się nasz bliski stosunek.

W maju wyszliśmy z księdzem Janem samotrzeć na spacer i deklamując, żartując z siebie wzajemnie, skacząc rowy, zwróciliśmy się ku drodze wiodącej do Ruszczy, wysadzonej kwitnącymi kasztanami. Kiedy gorąco ustało i ksiądz widział, że darmo nas chce zająć traktatem o platonicznej miłości, zaczął przeto nawracać skrzypka Kożuchowskiego, myśmy drapnęli z Jackiem, poszli do jego pracowni i na wesołe w wieczornym chłodzie Planty. Usiedliśmy niedaleko od drzewa Wolności i patrząc na słońce, co czerwieniło się zachodząc na szybach Szkoły sztuk pięknych, rozmawialiśmy długo, otwarcie, serdecznie o sztuce, poezyi, życiu artysty, ideale i smutku dni obecnych. Od tego dnia, w którym zrozumieliśmy się i zajrzeli w siebie, zaczęliśmy opuszczać wyraz „Pan" w rozmowie i ja zaglądałem coraz częściej do pracowni Jacka, który niech ma zawsze takie swobodne, spokojne i wesołe chwile, jakie ja u niego w tej żółtej pracowni, vis à vis jego „Pocałunku Judasza" na czerwonej starej kanapie spędzałem.

Raz, w dniu 17-go Maja 1880 r., puszczono nas ze szkoły bardzo wcześnie z powodu piśmiennej, o ile pamiętam, matury. Ruszyłem z Włodziem Tetmajerem na spacer i zaszliśmy przypadkiem przed willę na ulicy Lubicz, gdzie do dziś dnia jest Malczewskiego pracownia. Zapoznałem ze sobą moich przyjaciół-malarzy i Jacek skorzystał z niebieskich oczu Włodzia, prosząc go, aby mu za wzór do oczu Chrystusa służył. Zrobił je rzeczywiście, potem jednak zamalował i dał Chrystusowi oczy ciemne. — Na prośbę moję, aby mi co wyrysował dał mi wtedy Malczewski pierwszy swój szkic do „pocałunku Judasza", który mam dotąd u siebie. Wyszliśmy weseli od Jacka i unieśliśmy ze sobą miłe wspomnienie godzin spędzonych swobodnie w artystycznie nastrojonem kole.

x x

x

Z obrazów Malczewskiego „Zapóźno z pieśnią!" był pierwszym, co imię autora dał poznać szerszej publiczności i nadzieje, które w nim pokładali jego profesorowie, znajomi

i przyjaciele rozpowszechnił zwłaszcza w Królestwie Polskiem. _ Nie wiem z jakiej to epoki robota, ale dla mnie jest to w każdym razie bardzo sympatyczny i piękny obraz. Rzecz dzieje się w czasach prastarej Słowiańszczyzny, która tak zawsze przyciągała i natchnąć potrafiła Jacka. Równocześnie z owym „Kabylem", o którym wspomniałem, widziałem na wystawie krakowskiej w biskupim wtedy mieszczącej się pałacu głowę słowiańskiego Znachora, rzecz harmonijną, łączącą wielką biegłość techniczną z pełnem powagi i natchnienia traktowaniem przedmiotu. Odtąd w szkicach Malczewskiego a nawet w większych, powykańczanych płótnach spotykam często zamiłowanie w świecie „Starej Baśni." Otóż „zapóźno z pieśnią" daje nam właśnie scenę z tej epoki. Stary ślepy Homer nadwiślański w wieńcu zieleni na białych rozpierzchłych włosach idzie z lirą pod pachą środkiem pola zarosłego kwitnącymi ostami. Przed nim na pół nagi młody przewodnik, jedna z tych istot zabiedzonych od dziecka, ~~z~~ o kędzierzawych włosach, małych oczkach o żebrzącym i idiotycznym wyrazie.

Ma się pod wieczór. Nad łąką, gdzie w zielsku i kwiatach brodzić prawie muszą wędrowcy, nad wzgórzem w głębi stanęła czarna, fioletowa brzegami chmura, a słońce rzuciło na nią z boku czerwony blask zachodu. Kruki dwa, ponure żeglarze ponurego nieba, ulatują nad śpiewakami, lśniąc krwawo od słońca – w głębi chaty wioski widne w płomieniach i dymie,*: Niemcy pewno takie po sobie zostawili ślady. Na co w krainie spustoszonej lirnicy? tu „zapóźno z pieśnią!"–

Zapatrując się zupełnie bezstronnie na obraz widzę w nim wielkie wady i niepospolite zalety; jednych ani drugich jasno zapewne wyrazić nie zdołam, i te i tamte raczej odczuwam niż spostrzegam. Naprzód jednak rzec muszę, że dzieło to nie zdaje mi się wcale jak tyle innych dzisiejszych malowideł – robotą, ani obrazem na urząd, ani studenckim popisem, ale jest w każdym razie tworem wyższej myśli, dzieckiem artystycznej duszy i organizacyi, dowodem prawdziwego talentu. Sam pomysł tej pracy wska-

zuje człowieka z siłą twórczą i poezyą. A są te dwie zalety i w wykonaniu także. Grupa jest piękna, i prosta, twarze doskonale uchwycone i głęboko napiętnowane myślą – jest w tych postaciach ~~[illegible]~~ coś rodzimego, nawskroś słowiańskiego, coś widzianego w świecie a podniesionego do ideału. Łąka, czy ugór zarosły, mają tę cechę fantastyczności, co tak dobrze okala lirników króla Popiela czy Piasta. Brak może perspektywy po prawej ~~[illegible]~~ ręce widza, chłopiec jest, zdaje mi się, nieszczególnie narysowany, noga lewa zwłaszcza niefortunna; starcowi bym także coś, co się ręki prawej tyczy, zarzucił, ale poezyi w obrazie dużo i prawdy. Ciało także stanowczo zanadto czerwone i sine: – rys to dobrze chwycony u żebraków i włóczęgów, ale na płótnie tem skóra jest prawie miedziana. – Chmura za to, kruki i całe oświetlenie prześliczne. –

Tyle co do techniki: wracam znów do duszy obrazu. Musi on zwrócić na siebie uwagę widza koniecznie.

I tytuł ~~...~~ także woła na niego. Czy to i u nas „za późno z pieśnią!"? – Czy to tylko zwykły rys w dziejach śpiewaków, że w bolesnych dniach chodzą po świecie, a często nie mają komu lać w serca ~~...~~ pociechy, biedni, „słuchaczów próżni."? – W każdym razie przed tym obrazem uchyla się głowę, obciążoną myślami.–

× ×

×

W lecie 1880 r. w Ratuszu miasta Warszawy wystawił p. Aleksander Krywult zbiór ~~...~~ obrazów, których jest właścicielem. Był tam oprócz owej ładniejszej dziewczyny z koszem jarzyn na głowie obrazek Malczewskiego zatytułowany: „Konik polny i mrówka" oraz dwa ~~...~~ malowidła stropowe jego pędzla: „Lato" i „Wiosna."

Na śniegiem zasłanym łanie idzie myśliwy. Na głowie ma hełm dziwnego pomysłu: stanowi go skóra, jeżeli tak rzec można, jastrzębia ze stojącymi skrzydłami; ze stroju znać, że z tych samych to czasów łowiec, co i lirnicy na poprzednim obrazie. Idzie śmiało, ~~...~~ z

rozkazującego ruchu prawej ręki, z ust zwiniętych w trąbkę, znać, że gwiżdże, nawołując psy swoje; naprzeciw niego skulony, z narzędziem swem na plecach, zmarznięty ~~[illegible]~~ stoi śpiewak stary. Myśliwy z łupem przy boku to mrówka, kirnik – to konik polny. Gorżka ironia, której się nie spodziewał, pisząc swą bajkę, Lafontaine.–

x x

x

Często, siadując w atelier Malczewskiego, patrzyłem długo na obraz dwa metry przeszło długi, półtora dwa może wysoki.– Był to „pocałunek Judasza", którego szkic mam u siebie. Ze wszystkich obrazów i szkiców większych Jacka, jakie widziałem, to dzieło mi się najmniej podoba i przyjemności sprawia. Technika jest tu tak znakomita jak na bardzo nie wielu płótnach, którem po świecie widział. Ciało, choć trochę za czerwone, malowane wybornie, biała szata Chrystusa równie się zda miłą w dotknięciu, jak koszula wełniana, którąm u ~~[illegible]~~ autora w pracowni widywał.–

Ale w Chrystusie boskości za mało, ale jest troszeczkę teatralności w pozach. Jedna jest jednak rzecz znakomita, a tą jest rozlana w obrazie groza i przeczucie, że się stanie rzecz straszna, w dziejach wszechświata pamiętna: Bóg zostanie pocałunkiem zdradzony. I w Chrystusie jest ból, że chwila ta nadeszła, jest i spokojne na nią czekanie. W Judaszu zaś widny wstręt i fatalność nad nim zawisła: on by się cofnął, ale się kapłanów lęka, co przyszli z pochodniami i kijmi. Przystąpił do Chrystusa: wargi mu drżąco wybiegły, chce Pana końcem tylko ust dotknąć a wzrokiem mówi faryzeuszom: „otom dochował słowa!" – Piotr, ten Piotr ziemski jeszcze, co się Mistrza wyprze po trzykroć, chwycił za miecz, pijany wściekłością. – Jan patrzy z boleścią, Jakób śledzi tego wypadku z gęstwiny. –

Szkic pierwotny jest mojem zdaniem ładniejszy od obrazu. –

× ×

×

Wchodzę w epokę zbyt bliską chwil, w których piszę. Niech na nią padnie mgła zapomnienia albo światło ożywcze wspomnień. A Malczewskiemu życzę, aby jego „Śmierć *„Ellenai” według Anhellego była równie piękną jak szkic do niej.

Mój bazgracz posmutniał trochę i chodzi ponury w burce i wysokich butach po rynku Krakowskim. Ja czekam wiosny, by się rozpogodził.

(Pisane 22 i 23 Lutego 1881).

III.

Obchód ćwierćwiekowej rocznicy zgonu Adama Mickiewicza w gimnazyum św. Anny w Krakowie. –

W parę dni po przyjęciu Franciszka Józefa I w murach naszej szkoły, zebraliśmy się po raz pierwszy celem narady co do uroczystego obchodu rocznicy śmierci Autora „Ody do młodości." Doprowadzenie tego obchodu do skutku, a mianowicie urządzenie zwykłego wieczorku muzykalno-deklamacyjnego leżało w tym roku na naszych barkach, jako najwyższej klasy w gimnazyum. – Z obu oddziałów klasy VIII-ej wybrano po kilku członków do komitetu, który się niebawem podzielił na szczegółowe komisye. –
Do ~~[illegible]~~ literacko-deklamacyjnej weszedł Tetmajer Włodzimierz, Tylka Michał i ja z pierwszego oddziału, z drugiego – Józef Kalasanty Łuszczkiewicz.
Komisyę muzyczną tworzyli: Piotr Bałys z VIII A,

Włodzimierz Potocki i Józef Prószyński z VIII.B. Śpiewem zajął się przedewszystkiem Józef Bobowski z pierwszego oddz.; do pomocy dodano mu Maksymiliana Cerchę z 2-go, Leonarda Orzechowskiego i Kazimierza Marynowskiego z 1-go. — W komisyi gospodarczej wzięli udział: Łuszczkiewicz, Bobowski, Cercha i Stanisław Dekański, uczeń mojego t.j. pierwszego oddziału.

Ogłoszono konkurs na odczyt, słowo wstępne i deklamacyę solo. Ubiegać się mogli uczniowie obu ósmych klas. —

× ×

×

Muzycznej stronie wieczorku groziło wielekroć niebezpieczeństwo. Członkowie komisyi, pełni miłości własnej, żarli się między sobą. Gdy nieporządek powstawał głównie z powodu Prószyńskiego, przezwanego „Pruprusiem" i na niego zewsząd dochodziły nas skargi, usunęliśmy go z komisyi. <u>Inde irae</u>: oświadczył, że grać wcale nie będzie. Łuszczkiewicz tym czasem na posiedzeniach i poza

posiedzeniami rozrządzał sobie samowładnie w muzykalnej części, a że nie ma o muzyce pojęcia, bruździł okropnie. – Bałys, czekając aż go prosić będą, mówił, że grać się nie ośmiela i dopiero, kiedy na parę dni przed wieczorkiem zobaczył, że go nie wydrukowano na afiszu, zaczął się wkręcać i zapragnął wystąpić. – Potocki opuścił Kraków na 3 tygodnie przed obchodem osadzając nas na lodzie. Uczniowie 7-mej klasy, którzy mieli z rozkazu profesorów nie brać udziału w wieczorku (za swawolę okazaną względem ks. katechety) a którym my wyrobiliśmy prawo występu, nie raczyli odrazu przystać na nasze propozycye i czekali prośby, ażeśmy ich wreszcie sami musieli wykluczyć. – Szczęściem, Prószyński nie mógł zwyciężyć pokusy popisania się ze swoją grą, przeprosił się i zajął się na gwałt muzyką. Jemu też w wielkiej części winniśmy powodzenie i oklaski dawane produkcyom muzykalnym, bo choć to nieznośne, francuszczyzną popisujące się wiecznie, napół postrzelone indywiduum,

zna się na muzyce i biegłym jest wykonawcą.

× ×

×

Z dyablej czy profesorskiej łaski istnieje w naszem gimnazyum instytucya zwana chórem uczniowskim. — Zgodzono się powszechnie, aby głosy przez członków chóru wydawane nazywać śpiewem. Oprócz miłego [redacted] barytonowego głosu Bobcia 1) niema tam ani jednego gardła, któreby nie musiało ciężko pracować na wydanie przeraźliwych tonów. Śpiewacy nasi gimnazyalni nie mają ani głosów ani nauki, wielu wydobywa [redacted] ton [redacted] brzęczący jak stara kobza i ma wielką pewność siebie, wszyscy umieją rozprawiać o skali, kilku [redacted] zupełnie nie posiada muzykalnego ucha. Aż litość bierze patrząc na pracę Marynowskiego lub Cerchy, by coś melodyjnego wydostać z suchej gardzieli, aż oburzenie chwyta słysząc jak się Reicher chwali swym przepitym głosem...

Jednak bywały zawsze na wieczorkach chóry, a dwóch

---

1) Józef Bobowski.

członków tego piekielnego (śpiewającego towarzystwa wzajemnej admiracyi było w naszym komitecie: mimo mego gwałtownego oporu przeznaczono 2 numera w programie wieczorku na śpiew. Szczęściem przybył w połowie Października do drugiego naszego oddziału Aleksander Bandrowski, człowiek nie znający nut, ale śpiewak z natury, z organizacyi krtani a nie z mozołu i chęci. Głos tenorowy dość silny, czasem bardzo piękny, chwilami niewyrobiony i suchy, szkoły żadnej ale wyraźne przeznaczenie znać w nim, aby śpiewał. Po długich walkach z zawiścią zdołał on zająć jeden z numerów poświęconych wokalnym popisom i postanowił wystąpić z śpiewem solowym.

Na śpiew chóralny obrano śliczny polonez Moniuszki z „Hrabiny": „Jak bywało będzie zawsze" Długo nie chodziłem na próby i dopiero na trzy tygodnie przed wystąpieniem przekonałem się i innych (także) potrosze, że obawy moje nie były marzeniami. Bandrowski opuszczał wciąż próby, p. Dubiel profesor śpiewu od czasu do czasu tylko tam zaglądał: rządził Cercha, dobywając niestworzonych tonów, Reicher, garnek rozbity, który szorują piaskiem i

młodszy Jaroński, którego zawsze wszędzie pełno, a który śpiewa jak wiatr jesienny gdy się do lufttu od komina dostanie. – Próbowałem daremnie Reichera i Zolla wyrzucić: wyszli drzwiami i wrócili oknem.
W ostatnich dopiero dniach wziął się chór ostro do roboty: próba szła za próbą. Zrobili co mogli.

× ×

×

Wcześnie jeszcze podałem wniosek zbiorowej deklamacyi i proponowałem 2 akt „Konfederatów barskich” lub 1-szą scenę 3-ciej części „Dziadów.” – Pierwszy ustęp odrzucono wręcz, nad drugim zaczęła się dyskusya. Przyszło zwolennikom zbiorowej deklamacyi walczyć nie tylko z ociężałością i obojętnością: trzeba było zwyciężać prywatę i intrygę. Łuszczkiewicz postanowił wyforować koniecznie na deklamacyę Maksa Lerchę, bardzo dobrego i porządnego chłopca, ale ani śpiewaka ani tem bardziej zdolnego poezyą oddać w żywem słowie. Że zaś nie było prawdopodobieństwa, by Lercha na ogłoszonym konkursie pierwszeństwo otrzymał, chciał

ciągle Luszczkiewicz podkopywać wznoszony mozolnie gmach „Dziadów" aby na jego miejscu postawić swemu protegowanemu posążek. Gdy więc już role rozdano i próby dwa razy na tydzień regularnie się odbywały, zwoływał Józef Kalasanty zgromadzenie i nastawał na naszą deklamacyą; przy tem nie zaniedbywał przedstawiać jej w złem świetle prof. Czubkowi, który był niejako moralnym kierownikiem i protektorem wieczorku. Raz były więc „Dziady" za długie, [redacted] drugi raz nudne, trzecim razem wkraczały w zakres teatralnych przedstawień, to znowu zbyt się trudnymi okazywały, to za pięknemi dla niewykształconych widzów. A mimowolnie wspierali zamiary Luszczkiewicza: Bandrowski i Tetmajer nie przychodzae na próby, Jaś Orłowski (z VIIa) deklamujae okropnie źle. Wszyscy w ogóle pomagali intrydze – obojętnością.– [redacted].

Doszło do tego, że byłyby „Dziady" upadły, gdybym nie był uprosił zwłoki i nie podjął się w tym czasie reżyseryi. Naprzód tedy zamiast Ksawerego Orłow-

skiego wezwałem do roli Jankowskiego, której nie chciał w poczuciu solidarności z klasą Stefan Tustanowski (VIIa), której nie uczynił zadość Kazimierz Ściborowski (VIIIa) wezwałem Korzeniowskiego (VIIa), wnuka autora „Krewnych."

Niepunktualnego Tetmajera zastąpił w roli Suzina Służewski. – Tylkę w „Lwowiczu"... Jaś Orłowski dawno zastępował. Lercha odstąpił Glatmanowi „Kaprala," a wziął [redacted] Józefa. – Ostatecznie, po wyjeździe Z.T. Połockiego, który miał być Konradem, obsada była taka:

Konrad – Buziacki, Vb
Frejend – Orzechowski Leonard VIIIa.
Żegota – Łuszczkiewicz Józef Kalasanty VIIIb.
Jan Sobolewski – Bandrowski Aleksander. VIIIb.
Kapral – Glatman Ludwik VIIIa
Tomasz Zan – Ja, VIIIa.
Feliks Kółakowski – Bobowski Józef VIIIa.
Ks. Lwowicz – Orłowski Jan [redacted] VIIa
[redacted] Adam Suzin – Służewski Włodzimierz. VIIIa.
Jakób i Jacek – Gałecki Kazimierz VIIIa.

Jankowski – Korzeniowski VIIa

Józef – Cercha Maksymilian VIIIb.

× ×

×

Jakkolwiek byłem raczej źle niż dobrze uprzedzonym względem deklamacyi Olesia Bandrowskiego, gdy ten ofiarował się wziąć udział w wieczorku, nie trudno mi było poznać, że on jeden potrafi się z pośród nas wznieść po nad ową zadawalniającą, studencką deklamacyą, która ma tylko zrozumienia rzeczy dowieść, nie kusząc się o artystyczną doskonałość. *Poeta nascitur*, mówi przysłowie, *oratores fiunt*. Otóż tak samo jak z poetą ma się rzecz z jego tłomaczem, deklamatorem. Są ludzie stworzeni już na to, aby myśli wieszczej dawać prawdę i siłę, ucieleśniać ją w piękne dźwięki. Albo się mylę zupełnie i żadnego w tem sądu mieć nie mogę, albo Bandrowski jest deklamator *natus*. O jego ustępie konkursowym i walce z tego powodu powiem potem, teraz zajmuje mię tylko jego rola w „Dziadach." Pamiętam przedstawienie amatorskie * tej

samej sceny części trzeciej dawane w jesieni 1877 roku przez akademików w teatrze. „Sobolewski" wypadł tam bardzo dobrze, z mniej może szczęśliwie niż u nas. Bandrowski ma wielki zapas siły i zapału: mówiono wprawdzie, że deklamacya jego jest aktorska, czego nie rozumiem. Znam tylko dobrą i złą deklamacyę. Jego była dobra. — W kilku miejscach zwracaliśmy mu uwagę na fałszywe akcentowanie i brak przestanków — a zresztą miał on tyle prawdziwego uczucia, czy tyle sztuki, że słuchając dwa razy na tydzień ustępu o wywożeniu studentów, za każdym razem ulegałem ogromnemu wrażeniu. — Ustęp o Janczewskim i modlitwa końcowa były przepyszne.

Gorzej niż na próbach wypadła deklamacya Olesia na przedstawieniu. Miał trochę tremy, zrobił jednak wielki „furor." Płakano w sali.

× ×

×

Orzechowski pojął rolę Frejenda nieco za lekko, a raczej pojął ją doskonale, ale bał się popaść

w przesadę i z tego powodu oddał ją za lekko. Charakter Frejenda złożony z „galgenhumor" i boleści jest bardzo trudny i wymaga wiele smaku, któryby nie dał wpaść w trywialność. Ten szkopuł ominął Orzech kompletnie: był pełen delikatności i finezyi — siły dramatycznej było za mało, znikło to jednak wobec zaokrąglonej, pełnej swobody i wyższego komizmu, deklamacyi.

× ×

×

Kapral, który na próbach, pierwszych zwłaszcza najwięcej obiecywać się zdawał, wypadł źle w dzień wieczorku. Nie było w nim nigdy rycerskiej żyłki, ale był to wesoły, miły gaduła. Potem jednak wpadł Glazman w manierę i najwyższą trywialność, która też nie zadowolniła wcale inteligentnej publiczności.

× ×

×

Łuszczkiewicz, który się sam mianował kierownikiem deklamacyi i chciał nas „tresować", partaczył rolę Żegoty co się zowie. — Najwięcej mieliśmy biedy z

tą mniemaną, samozwańczą wielkością. Ostatecznie doszliśmy do jakich takich rezultatów.

× ×

×

Gdy Potocki wyjechał, daliśmy raz rolę Konrada, ot tak raczej dla żartu niż z poważnego zamiaru, Buziackiemu. Potrzeba było na próbie kogoś, coby czterowiersz 1) Konrada powiedział. Odtąd uważano Buziackiego za Konrada. Kosztowało mnie nie mało pracy wyuczyć jego i Orłowskiego Jasia. – Gałecki mówił dobrze ale za prędko. – Bobowski wywiązał się z roli zupełnie szczęśliwie i śpiewał dobrze dwie strofki (więcej nie pozwolił dyrektor) pieśni: „Niedbam jaka spadnie kara." Cercha deklamował poprawnie i naturalnie, Służewski i Korzeniowski przesadzali nieco.

---

1) Scenę 1-szą „Dziadów" obcięliśmy w ten sposób, że Konrad miał tylko 4 wiersze („Słuchaj ty, tych mnie imion:...). Deklamowaliśmy od słów Lwowicza: „Ił skądże się tu wziąłeś, Żegoto kochany?" do pieśni Konrada. –

× ×

×

Była zatem deklamacya zbiorowa i udała się bardzo dobrze. Jeżeli tylko role Sobolewskiego i Frejenda wzniosły się nad poziom studenckich produkcyj; to wszystkie inne były pojęte doskonale, oddane poprawnie. Twarze deklamatorów, gdy stanęli w półkolu były myślące, do ról zastosowane. Mówili powoli, naturalnie, żadne słowo nie padło bezmyślnie — wszystko było obmyślone z góry: każdy akcent, każdy ruch; znać było pewność siebie u wszystkich, znać było reżyseryę.— Ponieważ przestawaliśmy w miejscu, gdzie „Frejend dobiera różnych nut” przeto podczas słów Józefa odzywała się *pianisimo* muzyka stosownie dobrana, która, gdy skończył, rozlała się i buchnęła głośno. Po ustaniu jéj — zstąpiliśmy z estrady.

× ×

×

Taką była deklamacya nasza dla publiczności. Nie zajrzała ona za kulisy, nie widziała ile to trzeba było

cierpliwości i trudu, nim się zwalczyło wszystkie przeszkody, wykryło wszystkie intrygi Łuszczkiewicza. Nie widziała, jak trzeba było błagać wszystkich o uczęszczanie na próby, toczyć spór z prof. Czubkiem najszanowniejszym człowiekiem, który jednak nie zna się nic na deklamacyi i na Olesia się skrzywił. Nie widziała, jak Łuszczkiewicz przerywał próby konceptami i nie dawał jej nigdy powtorzyć, zaczynając jakiś szalony taniec po amfiteatrze, któremu dawał miano: „cancan-marsch'u", jak Bandrowski chciał estradę na scenę przemieniać i akcyą wprowadzać.–
Udało się, ale trudu było przedtem dosyć.

x x

x

Deklamacya solowa miała być „z „P. Tadeusza."
Gotowali się do konkursu: Bandrowski, Orzechowski i Cercha. Pierwszy nauczył się ustępu o koncercie Jankla, drugi ustępu („O czem tu dumać na paryskim bruku?"), trzeci początku księgi zatytułowanej „Rok 1812."

Pierwszego potrafiła zawiść odsunąć, wbrew uchwale, że każdy uczeń VIII klasy ma prawo współubiegania się. — Użył tu Łuszczkiewicz zwykłej w takich razach i przemawiającej do serc piosenki, tej samej, którą podżegano lud ateński. Krzyknął, że Oleś zanadto się znajdzie na pierwszym planie, że będzie królem wieczoru, że przybysz od miesiąca chodzący do szkoły zajmie stanowisko należne dawnym uczniom. Prof. Czubek, który patrzy zawsze na ucznia przez okulary swego katalogu, był także zdania, że imi, starzy synowie naszej szkoły powinni najważniejszą brać udział. A Bandrowski miał już śpiew solo, miał rolę ważną w „Dziadach", śpiewał w chórze — czyż podobieństwo dawać mu solową deklamacyą i tak wysuwać go naprzód? Miał Oleś to nieszczęście, że w zbiorowej deklamacyi odznaczał się siłą i prawdziwym talentem ponad wszystkich, miał to nieszczęście, że głos jego w chórze górował czystością nad ryki Reicherów, Lerch i tutti quanti. — A więc precz z nim! Daremnie dowodziłem przez godzinę

że zebranych gości na wieczorku nie obchodzi wcale to, czy występujący są świeżoprzybyli czy dawni, dobrzy czy źli uczniowie, że mając deklamatora, jakim się ani żadne gimnazyum ani uniwersytet poszczycić nie może, byłoby szaleństwem nie dać mu sposobności do popisu. – Przy głosowaniu padła większość po stronie Łuszczkiewicza – Bandrowskiego usunięto od konkursu.

Orzech tymczasem deklamował bardzo dobrze – z uczuciem i przejęciem. Łuszczkiewicz bierze się na sposób. W dzień konkursu odprowadza po kolei każdego z sędziów na stronę i stara się natarczywą i sofistyczną perswazyą wydostać od niego obietnicę, że za Cerchą głosować będzie „bo jemu się to należy, bo to bardzo dobry chłopak.“ Orzechowski, widząc to, zrzeka się; Bandrowski deklamuje tylko pro forma, bo wyrok już zapadł. Cercha „wytresowany“ przez Łuszczkiewicza wypowiada swój ustęp suchym, skrzypiącym głosem, zimno, podnosząc i zniżając głos

bez żadnego powodu. Otrzymuję pierwszeństwo, co nie było trudnem wobec tej ilości współubiegających się. — Po wieczorku mówili mi wszyscy, że jedyną na nim plamą, jedynym numerem słabym i nieznośnym była deklamacyi Cerchy.

× ×

×

Aż mi lepiej, żem już sprawę deklamacyi skończył i duszną tę atmosferę opuszczam. — Do odczytu stanęło początkowo dwóch kandydatów: Łuszczkiewicz i ja. Równocześnie powzięliśmy myśl obrobienia tego samego tematu: mnie p. Zathey poradził ocenę opisów natury i życia sielskiego „P. Tadeuszu" i porównanie ich z obrazami przyrody w „Georgikach", Delilu i „Ziemiaństwie". Łuszczkiewicz, nie wiedząc o tem, wziął sobie za przedmiot: „opisy natury w P. Tadeuszu." — Jak zwykle tak i tę razą nie dały mi różne domowe i familijne sprawy i stosunki zająć się z wszelką swobodą do pracy. Zostałem ostatecznie

zmuszony prosić o odroczenie terminu. Otrzymałem zwłokę, ale niebawem chciał mi ją Z.V. Połocki odebrać. – Różne te korowody i ~~pro~~ robota wymagająca pośpiechu były przyczyną, że rozprawka moja przyjęła zbyt wielkie rozmiary i była nudna jak śmierć. Cofnąłem się przeto w dzień konkursu. – Sąd mój o odczycie Łuszczkiewicza może łatwo stronniczym się zdawać – nie zupełnie jednak, bo mając wstręt do człowieka, muszę pracy oddać pochwałę. Nie zbyt głęboka i nadto ogólnie trzymana odznaczała się pełną powabu formą, formą oryginalną, choć kwiecistą i barwną, nie znudziła nikogo, owszem mogła czegoś nauczyć i zająć. Prosiłem tylko autora o wymazanie ustępu, gdzie się z niesprawiedliwionem szyderstwem i lekkomyślnością odzywał o Krasickim i Karpińskim – nie usłuchał i został „biskup Warmiński* dosiadający Pegaza."

× ×

×

Po mojem usunięciu się od konkursu na odczyt, wyznaczono mnie do napisania „Słowa wstępnego." Ułożyłem je wierszem: koledzy przyjęli, p. Zathey nie chwalił, ale mówił: „ujdzie", p. Miklaszewski ruszał ramionami na wieść, że „częstuję jeszcze rymami." – Pomimo rad Orzechowskiego, postanowiłem albo mieć słowo wstępne prozą, albo ustąpić tego zaszczytu Kazimierzowi Ściborowskiemu, który napisał ładny wiersz. – Gdy go jednak fatalnie deklamował, w wilię wieczorku napisałem króciutką mówkę, która zyskała aplauz p. Zatheya i wywołała uwagę p. Czubka, że słowo wstępne nie powinno być zbyt dobre, gdyż produkcye mają iść crescendo. Zmian, których p. Czubek żądał, nie porobiłem, chciał bowiem abym myśl główną wyrzucił, bo on ją w mowie na końcu wieczorku wypowiedzieć zamierza. – Nadszedł wreszcie dzień 4-go Grudnia, dzień produkcyj. –

× ×

×

Obudziłem się chory, z migreną, z atakiem żółci. Od dawna spodziewałem się z domu katastrofy, objawiającej się listami lub telegramem. Myśl ta sprawiła mą chorobę – przyszedł tegoż dnia rano do p. Zatheya list od mego ojca. Wolę uczuć dnia tego nie wspominać. Gdy sprawa między ojcem a synem, ojciec ma zawsze racyę, a synowi bije krew do głowy i nieopisane uczucie goryczy ściska serce. Wielu naraz rzeczy pozbawiony, z wielu wydziedziczony, z szaloną migreną leżałem w łóżku, zbierając siły aby wstać i pójść na wieczorek.–

Na godzinę przed rozpoczęciem wstałem z łóżka, i wróciwszy od fryzyera, wdziałem biały krawat i takież rękawiczki. Nie mogłem kolegów narażać na to, by się przezemnie zbiorowa deklamacya nie udała, zebrałem odwagę, przywołałem spokoju i poszedłem do gimnazyum... Zdrowszym się czułem, ból głowy ustawał – wszedłem do pół-zapełnionej sali.

x x

x

Amfiteatr naszego gimnazyum bardzo ładnie wyglądał. Portrety patrzyły z góry uroczyście, otoczone wieńcami zieleni. Tytuły dzieł Mickiewicza wisiały po ścianach. Estrada zasłana dywanami, nad nią rozpostarty na murze olbrzymi kobierzec, usiany lampami, biały biust Mickiewicza wśród krzewów i kwiatów. W sali atmosfera uroczysta, wesoła, swobodna, wszyscy czarno ubrani, komitetowi i występujący w białych rękawiczkach i krawatach, na piersiach naszych czerwone kokardy... Wesoły szmer-wrzawa na galeryi - jasno i ozdobnie.

Zapełniły się ławki studenckie: setki głów się czernią. W krzesłach profesorów kilku, p. Władysław Łuszczkiewicz, ojciec naszego prelegenta, członek Akademii Umiejętności, z córką, p. Jan Nepomucen Sadowski, czł. Ak. Um. z żoną, dr. Hipolit Majewski, kilkadziesiąt panien a między niemi panna Niemojowska, słynna piękność, podobno ideał na-

szego prelegenta, ś. p. Horacy Letronne, bliski znajomy Leonarda Rettla, uczeń Towiańskiego i.t.d. i.t.d. Trochę po szóstej, wstąpiłem na estradę, z rękopisem mówki w ręku, bo dobrze nauczyć się jéj nie mogłem wobec migreny.– Byłem jednak obojętny na to, jak się uda. Po tem, com dnia tego przebył zdawało mi się wszystko komedyą.–

x x

x

I „Słowo wstępne" moje brzmiało w następujący sposób:

„Wszędzie, gdzie tylko można, w kraju, czy na wychodztwie, na drugiéj półkuli u pobratymczych nawet ludów zbiera się jak corocznie tak i w tę ćwierćwiekową rocznicę zgonu Adama Mickiewicza orszak jego wielbicieli, aby mu cześć oddać, aby w téj uroczystości szukać pokrzepienia sił, ciepła, ochoty do pracy.

Potrzeba nieraz w dziełach wielkich wieszczów, we wspólnéj czci dla nich, potrzeba znaleść zachętę,

nadzieję, pobudkę. To też obchody takie, choć ciche i skromne wiele zapału udzielają, bardzo podnoszą i cieszą. Nie wielka z nich może dla poety sława, ale dla tych, co go czczą – wielkie święto... Radośnie nam dzisiaj i błogo, że i my możemy te same szkolne mury, w których królują starożytni poeci, napełnić odgłosem imienia naszego wieszcza, postawionego obok tych wielkich greckich, a śpiewającego nasze dni, nasze uczucia, naszą ojczystą ziemię. Radośnie nam i błogo, że najdroższego sercom naszym śpiewaka w swoim niejako domu, w ciepłem, temże czuciem ożywionem, przewodników i kolegów gronie czcimy. Ale jeżeli tu o tę cześć bardzo chodzi, jeżeli chęć oddania jej Mickiewiczowi więcej tu znaczy niż to, co na święto przynosim, to się na samej czci obchód ten nie kończy. Co roku upływa z tego zakładu, jak fala, grono uczniów związanych długiem koleżeńskiem pożyciem, wspólnością pracy i pragnień, co roku ostatni wyraz ich dążeń, najuroczystszy ów dzień, na któ-

ry znoszą „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty" związany jest z imieniem Mickiewicza. Ono ich i nadal podnosić, zachęcać i – łączyć powinno. Tak jak młodzież wileńska otaczając wielkiego poetę za jego życia, brała odeń zapał i wytrwałość, tak obyśmy i my nie zadowalniali się tem, że „jedną chwilę tak górnie przeżyjem, jak" ci koledzy Adama „całe życie", ale obyśmy od tej chwili, w której stanęliśmy razem wokoło jego posągu, starali się kiedyś, choć rozproszeni łączyć się zawsze w lepszym dla niego położeniu.

A ten dzisiejszy, młodzieńczy hołd nieśmy z wdzięcznością, radością, prostotą..."

Gdym schodził oklask dość rzęsisty odezwał się w sali, a że mi ból głowy ustał, przyczynił się do zupełnego rozweselenia i uspokojenia. Zacząłem się krzątać i roznosić programy, na których były wyrażone treści numerów, lecz nazwisk naszych nie było. Prof. Franciszek Tomaszewski winszował mi „wstępnego słowa" uroczyście.

× ×

×

II. Na estradę wstąpił Prószyński i dwaj bracia Jarońscy (VIIb i Vb). – Pierwszy siadł do fortepianu, drugi niósł skrzypce, trzeci wiolonczellę. Grali Trio Fesca – prawdziwie śliczne. Wśród wesołego, skocznego taktu fortepianu i wiolonczelli odzywał się ciągle wyżej nastrojony, rzewniejszy, dziwnie łagodny i czysty głos skrzypiec Mieczysława Jarońskiego, młodego lecz bardzo zdolnego wirtuoza. A potem znowu zagłusza wszystko fortepian pod Prószyńskiego ręką, płyną słodkie tony wiolonczelli i nagle harmonijną pieśnią rozbrzmiewają skrzypce... Huczne oklaski przerywały i nagrodziły na końcu koncert.

III. Odczyt swój czytał następnie Łuszczkiewicz siedząc, czytał dość dobrze i wyraźnie. Brawa były tak długie, że musiał ~~się~~ wyjść i kłaniać się publice.

IX. Ładną „Legendę" Goldermana grał na wiolonczelli młodszy Jaroński. Śliczne to dziecko, grające nie źle, obudziło sympatye ogólne. Oklaskom

nie było końca.

V. Szalone brawa i okrzyki zbierał Oleś Bandrowski za śpiew solowy. Pierwszą piosnkę „o oczko me" * (muzyka Reihardta) odśpiewał prześlicznie. Druga (Słowik. Muzyka Villvonfedera) nie poszła równie dobrze, w czem jest trochę mej winy. ~~Po~~ Ponieważ ~~...~~ słowa do tej aryi były głupie nad wyraz, ~~...~~ ja postanowiłem libretto dorobić. Pierwsza zwrotka okazała się dobrą, na wzór jej więc całe sześć strofek napisałem. 5-ta i 6-ta było nieco niezgodne z muzyką, choć ilość zgłosek była stosowna. Oleś nie zwrócił mi na to uwagi — oklaski były mniej silne niż za pierwszą aryę.

VI. Po przerwie dziesięciominutowej nastąpiła, nie bardzo ~~...~~ ~~...~~ ~~...~~ hojnie nagrodzona deklamacya solowa Corchy; bardzo mierna i „wytresowana."

VII. Młody skrzypek Mieczysław Jaroński, zyskujący zawsze na wieczorkach gimnazyalnych huczne brawa a obecnie i na koncertach towarzystwa mu-

zycznego odznaczający się chlubnie, został obsypany oklaskami za odegranie „Cavatiny" Raffa i mazura Wieniawskiego p. t. „Wspomnienie z Poznania."

VIII. Punktem kulminacyjnym wieczorku była deklamacya zbiorowa, która zajęła i rozrzewniła wszystkich. Brawa były huczne.

IX. Próżyński dokazywał cudów biegłości grając „Czardasz E-moll" na fortepian, Rubinsteina. Ciągłe okrzyki „fora, fora" zmusiły go do zagrania innego kawałka. P. Wiktor Barabasz bardzo chwalił wykonanie.

X. Rozklaskana publiczność biła głośne brawa chórowi, który odśpiewał polonez z Hrabiny „Pan Chorąży" poprawnie. – Ot i koniec.

x x

x

Jak największe wrażenie zrobiła na wszystkich mowa prof. Jana Czubka, pełna ciepła i złotych nauk. Jeżeli chodziło o zagrzanie i rozrzewnienie, to ogólny zapał i gorące łzy nawet dowiodły szanownemu mówcy,

że dopiął celu.–

× ×

×

Gdy się publiczność rozeszła ruszyłem do domu. (P. profesor poszedł[redacted] był na dramat J. Łętowskiego: „Izrael na puszczy.") Komitet zaś cały wieczorkowy udał się (z p. Dubielem podobno na czele) do restauracyi (i handlu win) Wódka na [redacted]-Floryańskiej ulicy. Trąbiono, wznoszono toasty, ściskano się do białego rana

× ×

×

Nazajutrz ukazała się w kronice „Czasu" bardzo pochlebna wzmianka o wieczorku. Wymieniono numera, prócz „słowa wstępnego" i deklamacyi solowej. Treść odczytu dość obszernie podana. Pochwały dla wszystkich hojne.

Głos ogólny stawił nasz wieczorek wyżej od wszystkich gimnazyalnych i od akademickiego.

(Pisane d. 23, 24, 25 Lutego 1881).

IV.

Słówko jeszcze o obrazie Jacka Malczewskiego: „Zapóźno z pieśnią".

Kiedym Włodziowi Tetmajerowi czytał[redacted] wspomnienia o autorze „Pocałunku Judasza", zrobił równie słuszną jak głęboką uwagę względem „zapóźno z pieśnią." – On obraz ten inaczej, bardziej symbolicznie pojmuje. Dwóch śpiewaków na wieść o napadzie wroga idzie zagrzewać lud do boju. – Ale nie przyszli na czas, bo w okolicy został tylko mord i pożoga, nie mają komu śpiewać pieśni przed walką, zachęcającej i silnej, hymnu zwycięscom nie chcą nucić. –

V.

Kolega w teatrze.

W dzień listopadowy, śnieżny, mroźny szliśmy we dwóch Karmelicką ulicą. – „Nie myśl – mówił mój towarzysz, którego może cisza w tej stronie miasta i to zimno dokoła i może dotknięcie cieplejszej trochę dłoni usposabiało do wynurzeń – nie myśl, żebym zawód sceniczny uważał za środek lekkiego życia; ja kocham sztukę.” – Spojrzałem na niego, chcąc sobie uprzytomnić jego powierzchowność na scenie. Zdawał mi się wszystkie te warunki posiadać, które artystę zaraz publiczności zalecają. Wysoki, dobrze zbudowany, nie umiejący wprawdzie tak chodzić, aby na deskach, gdzie wszystko uszlachetnionem być musi, zaraz chodem swym dowieść, że jest idealną postacią, ale piękny, a przynajmniej ładny chłopiec, z głosem, w którym jest materyał na doskonałego śpiewaka i aktora – stworzony na scenę. Smutno mi się robiło

na myśl, że chłopak tak pełen talentu, z zamiłowaniem sztuki, z pewnem już wykształceniem i wszelkimi warunkami zewnętrznymi ma iść na prawo i przepisywać akta. – Ale cóż? ojciec tak chce!! – I jakżeż ma co być dobrego w świecie i w kraju, kiedy ci, co mają wyraźnie z góry wskazane powołanie iść muszą drogą dla nich niewłaściwą, kiedy Weyssenhoff ma się uczyć prawa, a potem daleko od Litwy gospodarować na Podlasiu, kiedy wuj Mieczyś nie żeni się z tą, do której go serce wiodło i rzuca zajęcie, z którem się już zrastał na chlubę rodzinie swojej i młodszej generacyi szlachty naszej, kiedy dowcipnego Orzechowskiego chcą wprządz do medycyny i życie jego zamknąć w prosektoryum, kiedy wola rodziców prowadzi wielu z moich kolegów do księżej sutanny, chociaż nie mają powołania ni ochoty, kiedy co krok to złamane życie, zwichnięta droga, zapał zgaszony, kiedy codzień spotykamy ludzi, co nie mogąc iść tam, gdzie ich wnętrzny głos, owo Platońskie δαιμόνιον, prowadzi,

z początku cierpią, a potem cierpną i stają się ludźmi bez ideału, z gorzkim uśmiechem, z opuszczonemi rękoma. W mistrzowski, sobie tylko właściwy sposób, potrącił już o tę sprawę pan Lathey w recenzyi „Przyjaciół Hioba" Asnyka – Myśli coraz smutniejsze wstępowały do głowy, przy słuchaniu powieści mego towarzysza, aż wreszcie pożegnawszy go puściłem się na Piaski, marząc o podniesionej kurtynie w teatrzyku krakowskim, o oklaskach i wrzawie, gdy się na scenie ukażą razem trzymając się za dłonie – dawni szkolni koledzy – jeden autor sztuki, którą dziś grają po raz pierwszy, a drugi aktor w roli tytułowej. –

Tymczasem, krzyknąłem odchodzącemu przyszłemu Garrickowi: „bądź też na próbie deklamacyi „Dziadów" w gimnazyum. Ciągle opuszczasz próby! Vale."

× ×

×

Nazajutrz po wieczorku na cześć Mickiewicza urządzonym w naszem gimnazyum, szedłem Plantami z p. Letronnem, nauczycielem moim francuskiego języka, o którym miałem już kiedyś sposobność wspomnieć na tych luźnych kartkach z moich dziejów. – „Et qui est-ce ce jeune homme, qui déclamait si bien hier? Il a vraiement du talent." – Odrzekłem zacnemu gościowi naszego wieczorku, że jestto mój kolega, któremu wola ojca nie daje wstąpić do teatru. „S'il a envie d'entrer au théatre il finira toujours par là" odrzekł mi starzec. – Sprawdziło się.

× ×

×

– Jakto, Bandrowski od 2-go kursu nie chodzi już do gimnazyum i wstępuje do teatru? –
– Tak jest; został zaangażowany do nowo otwierającej się operetki, a zarazem do dramatu i komedyi. –

Takie głosy odzywały się podczas małych waka-

cyi 1880/81 roku szkolnego tam, gdzie się kilku kolegów Olesia zebrało. I niebawem ukazał się na A.B. pan Aleksander Bandrowski in persona tylko według wszelkich praw szyku ubrany, z laską w ręku, z ogolonym wąsem. Operetka się rzeczywiście zawiązała, Oleś miał być tenorem, pierwsze przedstawienie połączone z pierwszym występem młodego śpiewaka naznaczono na czwartek d. 17 lutego 1881.–

x x

x

Chodziło o wybór pseudonimu dla debiutanta. Przed laty, gdy opuściwszy dom rodzicielski a vulgo drapnąwszy z niego, dostał się do trupy Buczackiej i tam rej wodził, jako sekretarz teatru, używał on nazwiska Kamińskiego, pomny słynnego Jana Nepomucena. – Dziś jednak, ze względu zapewne, że rodzin tego nazwiska jest wiele, wybrał on sobie lepsze. Powyrzucał mianowicie

kilka liter ze swojego nomen gentilicium i w ten sposób stał się z Bandrowskiego — Barski.

× ×

×

Afisz 17go lutego 81 r. zapowiadał 3 jednoaktówki: 1° „Upór" („Gott sei dank, der Tisch ist gedeckt") Benedixa w tłomaczeniu Arwina, 2° „Jesienią", komedyjkę oryginalną Leopolda Świderskiego 3° „Hania płacze, Jaś się śmieje" operetkę komiczną z muzyką Offenbacha, z tekstem [redacted] tłomaczonem przez Anczyca.— Pomimo pierwszego przedstawienia operetki publiczność była nielicznie zebrana.—

Przed podniesieniem kurtyny spojrzałem po teatrze. [redacted], [redacted] Na parterze byli wszyscy uczniowie obu oddziałów VIII klasy, i zdaje się, że prócz nich mało kto był więcej: zapełnili miejsca stojące.— Zresztą z [redacted] loży 1-go piętra wprost sceny można było całą salę ogarnąć a widzia-

ło się doskonale czerwone i czarne grzbiety foteli i krzeseł, puste jamy lóż - tu i ówdzie tylko znajomi i krewni debiutanta i kilkanaście ~~osób~~ osób, które dla sztuki nie dla artystów przybyły. - W loży pp. Kadenów siedział obok swej narzeczonej pan Juliusz Bandrowski, słuchacz medycyny, brat debiutanta. Drugi brat profesor instytutu technicznego i docent chemii na uniw. krak. zajął z żoną miejsce w krzesłach. Trochę było złotej młodzieży po lożach, Miłaszewski były dyrektor teatru lwowskiego i przyszły znowu jego kierownik zajął obserwacyjne stanowisko, p. Leonard Rettel, osobiście przez Rychtera, którego jest dobrym znajomym, zaproszony, zasiadł w pierwszym rzędzie by ujrzeć dwoje osób znanych mu dość blisko a występujących ~~w~~ komedyi „Jesienią," p. Rychtera w roli Rolnickiego, pannę Stachowiczównę w roli Maryi. -

Było ponuro w teatrze i dość ciemno, z parteru tylko w czasie przestanków słychać było szmery i rozmowę. Zamek krakowski, dzieło zdolnego malarza St. Jasieński pochodzące z czasów, gdy był znakomitym aktorem i dekoratorem teatru, zamek ten odbity w modrej Wiśle, zdawał się zasypiać na kurtynie.

Orkiestra powtarzała po raz setny te same utwory muzyczne. Ale pierwsze dwie sztuczki szły żwawo – parter był pełny i przygotowany do sypania brawa, były więc i śmiechy i oklaski.

× ×

×

Mówią mi, że „Hania płacze, Jaś się śmieje” nie jest bynajmniej ostatniem słowem Offenbacha ani pod względem werwy, ani – brudu. „La musique n'est pas assez canaille” – mówił mi Rotter. Mnie jednak wydała się ta sztuczka szczytem brzydoty,

płaskości i nieestetyczności. Nie jest niemoralna, jest ogłupiająca i oburzająca tem, że niszczy wszystkie pojęcia i wyrazy piękności – a w chwili, gdy stary młynarz przebrany za kobietę tańczy – brak estetyki dochodzi do podłości.

× ×

×

Oleś wyszedł na scenę, jako Frytz, młynarczyk, w kostiumie niemieckiego chłopca, dość gustownym i niezbyt jaskrawym – mówił prędko, niespokojnie, cicho, chodził jakoś zbyt wielkim i ciężkim krokiem – było mu nieswojsko i dziwacznie.... A mnie także niemiłe robiło wrażenie, gdy musiał biedaczysko śpiewać miłosne duo z babą, starą, brzydką, obrzydliwą, z babą/ o jakiejś twarzy szurgota, o postawie, głosie i ruchach – nie wiem już czego – chyba tancerki na linie, czy „chansonettensängerin" z „tingl-tangl", o wymowie i głosie ulicznicy..... Głos jego drżący z początku nabrał powoli siły i chociaż kilka przejść źle poszło, ca-

łość robiła nie złe wrażenie. Przebrany potem za starego z wąsami siwymi i szpakowatą peruką wyglądał doskonale... Daliśmy mu huczne brawo i wywołali na końcu.–

× ×

×

„Czas" nic nie wspomniał o debiucie Barskiego. Zato po „pięknej Galatei" (Pigmalion) sypnął mu takie pochwały, że mimowolnie nasuwała się myśl, że to ktoś z przychylnych i bliskich napisał.– Rola Kazimierza Zakliki w „Żakach" wywołała znowu same kadzidła... Na tem skończyły się występy tenora, bo operetkę w braku primadonny zamknięto. Zaangażowano jednak Olesia do dramatu i komedyi, w miejscu Żysockiego, z płacą 50 złr. miesięcznie.

(Dalszy ciąg będzie następował).

VI.

Księżna Marya Czetwertyńska.

W mgle dziecinnych lat widzę dzień jeden wybitnie i barwnie błyszczący... W mieszkaniu na drugiem piętrze na Nowym Świecie w Warszawie widzę ruch jakiś niezwykły. Krzątają się około chrztu mojego brata; ksiądz już jest w komży i w stule, rozmawia z moją matką, a ja trzymam się jakoś kąta i czuję, że jestem bardzo mały, niższy podobno od stołu i siłom swym nie ufam.... Mój brat kilkomiesięczny nic z sobie nie robi z ogólnego zajęcia które budzi, ani z koronkowego powijaka, ani z lnianego czepka na łysawej głowie, ani z jakiejś długiej sztuki błękitnego muślinu, czy jedwabiu, którą mu do powijaka przyszyto, a której celu dziś już odgadnąć nie umiem... A potem widzę w wspomnieniu tem pokój przeznaczony na kapliczkę z ołtarzem jakimś białym i postać mojej Babki opartą na kiju z całym urokiem tej mądréj, pomarszczonej a dziś

tak uroczyście radosnej twarzy, tych żywych piwnych oczu i tego wysokiego czoła, ponad którem kręcą się wieńcem tiule białego czepka, starannie prasowane i układane przez pannę Rejmanowską.

Ruch i uroczysty nastrój dnia tłomaczy się nie tylko ważnością obrzędu ale i powagą uczestników. Ojcem chrzestnym będzie p. Władysław Małachowski, który jest Wojewodzicem naprawdę, a z szlachetności i podniosłej duszy godzien być tym, czem go zowią w Warszawie – Wojewodą. – Matką – córka Franciszka Morawskiego – ciotka moja Karolina Jezierska. Przesuwają się po salonie z czerwonymi meblami Stryjowie i Ciotki i Babki moje obie i jeszcze jacyś nieznani mi ludzie... Mnie coraz dziwniej i straszniej i obcej...

Zaczęto ceremonię, woda się leje na głowę mego brata, który zaczyna się oburzać na taką niespodziankę, wrzeszczy w niebogłosy, a z kąta wtórzy mu dzielnie przerażony, dotknięty tem do żywego brat starszy... Komiczna ta scena wywołała

rozkaz, aby wyprowadzić niegrzeczne dziecko, ale się ktoś podjął je uspokoić... Pamiętam przez łzy postać niewieścią pełną słodyczy i uroku, która mnie pociesza i łagodzi moje zapędy. Oczy ma niebieskie, duże i złociste włosy.

x x

x

Ubiegło lat kilka i ja już zacząłem deklinować terra - terrae i magnus poeta, kiedy pocieszycielka moja, błyszcząca w wielkim świecie panna Marya Platerówna zjechała wraz z opiekunką swoją i ciotką panią Hortensyą Małachowską do Woli. Nauczycielem moim był zdolny i pełen szlachetności Floryan Łagowski. Jest on jednym z tych, co wiele cierpią, bo wiele kochają, ale i rozkoszy mają w życiu mnogo, bo miłość to życie, bo dla nich są świeże wiosenne dni i zachwyty i serca podniosłych współczucie. Piękna hrabianka zrobiła na nim podobne wrażenie, ale nie na nim tylko... Chodziłem za nią jak cień

stawałem za jéj krzesłem i ciągle byłem na jéj usługi. Oczy te wielkie pełne wyrazu, łagodne, ocienione pięknymi rzęsami robiły na dziecku ogromne wrażenie; były jakby urzeczywistnionym marzeń i przeczuć moich wyrazem. Ale nie dosyć jéj służyć - trzeba jéj względy zyskać. Umiałem z dziecinnym sprytem i instynktem ściągać na siebie jéj uwagę, co znowu baczności starszych nie uszło.

Gdyśmy raz pojechali wszyscy na spacer i ~~...~~ Marynia Plater /tak zwano ją zawsze/ oświadczyła chęć powrócenia z lasu pieszo razem ze mną, zaczałem z nią rozmowę ~~...~~

Nie wiem skąd wpadłem na pomysł ~~...~~ deklamowania jéj, com tylko umiał, zwracania rozmowy ku poezyi, ku pięknu, widokom, pamiątkom, nie wiem skąd zacząłem jéj tłomaczyć, że mam wzrok bardzo słaby i nie mogę z pięknych krajobrazów korzystać, że mnie to wreszcie nieszczęśliwym czyni... Wogóle zacząłem ściągać jéj litość, ufny, ~~...~~ że

się mną jako biednym a szlachetnym zajmie. Muszę ~~[illegible]~~ przyznać, że umiałem wtedy radzić sobie lepiej niż na dziecko przystało... Dziś te zdolności znikły, dziś w podobnym wypadku nie umiałbym może rzec słowa... „Ach jaka szkoda!" –

Bawiło to pannę. Przechadzka trwała długo. Dzień był pochmurny i mglisty, wilgotny... W jesienne powietrze słaliśmy wiersze Pola o Zygmuntowskim dzwonie...

× ×

×

W rok potem ciżba zapełniła Saski ogród; była to zwykła w Czerwcu fantowa loterya. Rozstawione tu i owdzie wojskowe orkiestry chrapią z trąb aryjki operetkowe. Po wszystkich ulicach ogrodu idzie się jak na procesyi, tak wolno i tak tłumnie... Wielka fontanna bije z szelestem i szumem, delfiny śpiżowe sterczą z piany basenu. Na patyczkach zatknięte ~~stojęmy~~ rakiety po trawnikach, mówią dokoła, że świetne będą bengalskie ognie,

a szmery nie ustają w alejach, głusząc orkiestry. W kioskach powiewających flagami najpiękniejsze panie i panny stolicy sprzedają bilety na fantową loteryę, słuchając komplementów i brzęku złota i czasem takich niestrożnych wykrzyków jakim był mój w ten wieczór śmiechu, kwiecia i blasków: „ach jaka Marynia Plater piękna."

To wszystko usposabiało mię dziwnie i kiedy już wszystkie rakiety rozstrzeliły się iskierkami po niebie, świat dookoła zabłysł wszystkimi barwami ogni bengalskich i pogasnął, a myśmy zeszli ku Wiejskiej ulicy, bardziej od tych świateł sztucznych podobał mi się księżyc cichy, pełny, przyjaźnie patrzący, co wszedł na niebo i gwiazdy przyćmił z lekka...

x x
x

Panna Plater została niebawem księżną Czetwertyńską, ale nie zapomniała o młodym przyjacielu. Mam od niej piękny kałamarz rzeźbiony z drzewa i pióro, przysłane z Marienbadu, wkrótce – jak pomnę – przed

ślubem. Potem widywałem ją od czasu do czasu w Warszawie, a na trzeciem przedstawieniu „Wielkiego człowieka do małych interesów" byłem w loży ze Stryjem Konstantym i z Księstwem, zachwycając się grą Żółkowskiego, Rapackiego, Szymanowskiego, Ostrowskiego panny Popielówny i Derynżanki. — Od czasu, co jestem w Krakowie, raz tylko widziałem Księżnę i nie (bardzo) wiedziałem co jej mam mówić, gdym z nią pozostał sam na sam w ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ tym samym pokoju, ~~[illegible]~~ gdzie niegdyś odbywał się chrzest Ludwika, gdzie stał ołtarz biały i Babka moja ~~[illegible]~~ szła zwolna oparta na kijku... Ile razy widzę panią Hortensyę, ciotkę księżnej, przypomina mi dziecinne moje zapały..

VII.

Najodleglejsze moje wspomnienia o Janie Królikowskim. –

Kiedy mi się po raz pierwszy obiło o uszy imię Jana Królikowskiego, nie pomnę. Wiem tylko, że nawet w cichej, dalekiej od artystycznego świata* Woli imię to odzywało się czasem. Mówiono o znakomitej grze jego w „Mazepie”, w „Kupcu weneckim”, w „Róży i oście” – a kiedy raz pożyczono Łagowskiemu jakiś Numera „Tygodnika ilustrowanego”, był tam i portret wielkiego artysty...

Będąc w czwartej gimnazyalnej klasie w Warszawie poszedłem z rodzicami na „Dwie blizny” Fredry, świeżo wówczas wprowadzone na scenę. Sztuka mimo gry panny Popielówny (w roli Wandy i Szymanowskiego w roli Barskiego nie szła tak żywo, jak idzie w Krakowie. Bo chociaż panna Marcello lub pani Żelazowska nie sprostają pannie Popielównie, to kto wie, czy Sobiesław nie lepiej pojął ogół

roli od Szymanowskiego, a panna Figarska nie może się, jako Figaszewska, równać z panią Wolską, ani p. Tatarkiewicz z Szymańskim (Alfred), a tem bardziej Kasztelanowa pani Niewiarowskiej z znakomitą kreacyą pani Hofmannowej.

Przed „Dwojgiem bliźnami" dano nadto sztukę, która musiała porwać, zelektryzować publiczność i zaćmić wszystko, co po niej grać miano. Nie sama to sztuka sprawiła, owszem cała zasługa należy się panu Królikowskiemu i pannie Deryng.

On gra Garricka, który ma dwa odrębne momenta w swej roli: chwilę spokoju i pogody, chwilę miłości i szału, a nadto gra jeszcze w tej jednoaktówce dwie role: starego doktora i pijanego. Ona ma lat 19 i duszę pełną miłości gwałtownej: kocha Garricka, którego zna tylko ze sceny..

Ale on jej nie kocha, nie zna, nie wie o tej duszy, która go najlepiej rozumie... oczu jej łzawych nie widzi z desek. On kocha imę,

co się Jenny zowie, jest wielką panią, od dawna pomaga mu i zachęca go zawsze..–

A biedna Marya, zaręczona zdolnemu adwokatowi, ale nie kochająca go i tęskniąca za Garrickiem, chodzi często do teatru, podziwia go w Szekspirze, płacze, schnie i blednie... Nikt nie zna tajemnicy jej serca oprócz ojca, który się tem martwi i gryzie.

Gdy stan ten z każdym dniem się pogarsza postanawia on ostatecznie udać się do samego artysty i prosić go, aby córkę z tej miłości zgubnej wyleczył. Ojciec Maryi wie, że artysta zrobi co może, ale czy potrafi dokazać bez charakteryzacyi, orkiestry, oświetlenia i wysokości sceny? Garrick go na to chwyta za rękę i opowiada o dziecku, które z poddasza na trzeciem piętrze wyszło okienkiem na dach, gdzie stały w doniczkach kwiaty i o niebespieczeństwie co mu grozi..

Ojciec się wzdrygnął na opis pełen prawdy. „A co?" rzekł Garrick „jesteś pan wzruszony, a przecie nie jestem na scenie, muzyka nie gra

nie jestem ~~ucharakteryzowany~~ charakteryzowany i noszę zwykły ubiór...
Dziś jeszcze przyjdę, chociaż mam wiele zajęcia, bo dziś broni mej sprawy w sądzie narzeczony pańskiej córki i dziś przedstawiają po raz pierwszy moję sztukę..."

Po chwili anonsuje służący doktora Robin. Jestto staruszek siwiuteńki, schylony, skurczony, z twarzą pomarszczoną nieco i zgrzybiałą, głos mu drży trochę... Marya, do której go wezwano, wchodzi do saloniku. Zostają z sobą sam na sam.... On się jéj wypytuje o zdrowie, bierze ją za rękę, a potem ujmuje wpół i słucha bicia serca ku wielkiemu zawstydzeniu dzieweczki....

„Nic ci nie jest, moje dziecko. Trzeba ci tylko rozrywki, zabawy, teatru...."

Na to słowo doktora drgnęła miss Mary.

„Lubisz teatr moje dziecię? Wiem, wiem, wy wszyscy lubicie czas i pieniądze tracić... Wy wszyscy rzucacie je tym wydrwigroszom..."

– Jakto? więc pan nie kochasz sztuki? –

„ Owszem, bardzo cenię sztukę kulinarną...”

Dziewczę jest jak na torturach...

— Więc pan nigdy nie płakał w teatrze? —

„ Płakałem gorzko, moje dziecko, gdym powrócił do domu i zobaczył, żem się dał haniebnie oszukać przez tych komedyantów a zwłaszcza tego wydrwigrosza Garricka.”

— O Garrick, Garrick, — woła dziewczę — on ciebie nie zna, nie widział cię słodkim i smutnym w Hamlecie, dzikim jak tygrys w Ryszardzie, gwałtownym i dumnym jak lew w Otellu.... On ciebie nie zna. —

Serce dziewczyny ledwo że nie wyskoczy z łona... Oburzenie i zachwyt zarazem pędzą dziewicę naprzód salonu, gdzie w zapomnieniu kompletnem o świecie mówi ona długo sama z sobą, namiętnie, z entuzyazmem a — pięknie! Monolog ten w ustach panny Deryng da się przyrównać tylko do gwałtownej a wspaniałej burzy.... Dziś po czterech przeszło latach pamiętam, jak te grzmoty wstrząsały całym teatrem i odbijały się echem we mnie...

A doktór? On siedzi z boku, oparty na lasce, ale wyprostowany jakiś i odmłodniały. Twarz mu się wypogadza, pokurczone rysy nabierają dziwnej szlachetności, po pięknych oczach przelatują błyskawice gwałtownych uczuć i myśli... Aż wreszcie chustką twarz sobie obciera i z włosów zrzuca perukę, pada do nóg Maryi... Ona ocknęła się z zapomnienia... To on! to Garrick, to Królikowski...

Tu następuje chwila miłości i szału. Marya oddycha na łonie upragnionego oddawna. Ona się czuje szczęśliwą i dumną. Ale on!? On nie po to tu przyszedł, on dał się porwać na widok tego serca czystego, co go z daleka szuka, wielbi, kocha... Słowa miłości i słowa prawdziwego zapału nadto są rzadkie, aby nie uniosły [redacted] artysty. [redacted] On ma jednak przed sobą twardy obowiązek, gorzką czarę. Spełnić ją każe mu honor...

Na stole stoi butelka od wina Porto, próżna wprawdzie, ale on jest aktorem. Będzie więc pił z niej i upoi się winem, a potem majacząc po

pijanemu powie temu biednemu dziewczęciu, że on jéj nie kocha, że to była bardzo dobrze, wyśmienicie odegrana komedya, że on już tylko komedyą grać potrafi... Boleśnie niszczyć zapał, kruszyć dziewicze serce, odtrącać jedną z tych rzadkich dusz, co go pojmują i za miłość sztuki miłością i wdzięcznością płacą..... Ale obiecał ojcu wykorzenić tę miłość, ale narzeczony Maryi to jego przyjaciel, który w téj chwili w jego obronie staje... On musi...

Zbliża się do pustéj butelki i z wzrastającą radością pije kieliszek po kieliszku.- Widać, jak go ten napój chłodzi i rozwesela, rozgrzewa potem i odurza. Zaczyna mówić nie porządnie, chodzić niepewnym krokiem. Mówią, że gdy raz Garrick będąc na próbie przypatrywał się aktorowi grającemu pijanego, zawołał: „lewa noga nie dość pijana." To też ten Garrick pijaniuteńki cały - zatacza się i deklamuje ustępy z roli...

A Marya drżąca i smutna patrzy z boku. Trwoży się to delikatne dziewczę widokiem i słowami pijaka.

A przytem to najwyższy dla niej człowiek tarzający się w błocie.... Serce się łamie.. a Garrick plecie wciąż o jakiejś komedyi.. Czyżby ta miłość była komedyą, ten szał komedyą...? – On wydobywa z kieszeni list do swojej narzeczonej, do Jenny.. i daje go (Maryi) do ręki... „Droga Jenny" tak się list zaczyna.. Dziewczę blednie i zaczyna drżeć jak w febrze..
– A cóż to za list? – pyta Garrick.. – wszak pani nie nazywasz się Jenny... Ja bardzo kocham tę lady, nawet więcej od Porto, choć Porto dyablo lubię... –

Jak się rzecz kończy, nie trudno się domyśleć. Garrick się poświęcił i odniósł zamierzony skutek. W oczach Maryj jest on tylko komedyantem... Biedne dziewcze zatrwożone tem, co widziało, zmęczone cierpieniem rzuca się w objęcia ojca i schyla głowę na piersi młodego adwokata... Pierwszy raz w życiu pokazuje mu że go kocha.. Błogo jej znaleźć serca, które nigdy nie zagrają komedyi; ze świata porywów i zachwytów wraca (ona) na łono rodziny, cichą

gołąbką. – A kiedy szczęśliwemu ojcu powiadają, że się Garrick upił, nie chce wierzyć.. „Przecież butelka była próżna" mówi... – Na miłość Boską bądź pan cicho – szepce artysta.. Idę do teatru grać w ~~sw~~ojej sztuce.. Żegnajcie państwo... Tam się będę starał, aby mnie pojęto.. Tu im mniej mię rozumiecie, tem lepiej się komedya udała.* – Tu zapada kurtyna. ~~na~~

Sztuka ta nosi tytuł: „Doktor Robin" i ~~[illegible]~~ należy do popisowego repertuaru Jana Królikowskiego. Ale przy tej jego grze genialnej, wykończonej i wycieniowanej, pełnej, harmonijnej, rozumnej i unoszącej, nie ~~[illegible]~~ niknie wcale ta postać druga, niepomna siebie, ognista, ta kobieta, która ani na chwilę nie gra, która się sama unosi i wybucha.. Królikowski to posąg Memnona * tylko przez Fidiasza kuty. Dobywają się z niego jakieś głębokie, metaliczne, tajemnicze, cudowne prawie dźwięki i światło jakieś z wnętrza opromienia świetnie, silnie, pogodnie jego kształty.

Pani Deryng to krzak co się zapala od piorunu, ogarnia cały ogniem i chwieje płomieniami wokoło, to arfa na której ktoś gra za gwałtowną może ale pewno natchnioną ręką...

x x

x

Chciałem więcej jeszcze ~~[illegible]~~ pozbierać i rzucić na te karty wspomnień o Janie Królikowskim. Zadaleko by mnie to jednak musiało zaprowadzić. O każdej roli jego tyle do powiedzenia, a i o człowieku trzebaby wspomnieć. Wspaniały na scenie, dziwnie prostym jest w życiu... Wielbię też w nim artystę i bardzo wysoko cenię człowieka..
A więc kiedyś wrócę do niego jeszcze – dziś kończę te najodleglejsze wspomnienia o nim – jako Garricku..

(Skończone d. 25 Kwietnia 1881).

Z podróży do Bawaryi
i Salcburga,
odbytéj w roku 1879. –

Trochę o Marienbadzie i o Goethem. – Wilia wyjazdu do Monachium.

Piękne bywały ostatnie wieczory w Marienbadzie... Księżyc stał w pełni i występował jak złota tarcza z sinego nieba, które gdzieś pozapominało o gwiazdach, złociste całe od mieniących promieni... Na ziemi ~~[illegible]~~ było także sino jak na niebie, a cienie odbijały rażąco od tego morza światła, srebra, błękitu które się rozlało ~~po dolinie~~, po szczytach gór i spływało po zieleni świerków.. Słowiki tylko nie odzywały się śród sierpniowej nocy, lecz za to w bzach miasteczka i w leszczynach boru aż drżało wszystko od szmeru, gwaru i świergotu mniej uczonych śpiewaków... Chętnie więc opuszczałem towarzystwo, pijące herbatę, zebrane ~~w~~ mieszkaniu pani Hortensyj ~~[illegible]~~ „unter der Sonne", albo u stryjostwa Ludwików w

olbrzymiem „Tepelhaus", albo wreszcie u nas „zur Flora," aby wejść w ten chłód wieczorny. Jeszcze u pani Hortensyi można było wyjść na ganek, gdzie śród zieleni uśmiechała się jak suchotnica smutnie i łzawo, blada, zapóźniona różyczka, wiatr od „Kreuzbrunns promenade" niósł trochę świeżości i powietrza z gór, a kasztany stały poważnie, powiększone urokiem nocy, ozłocone i szepczące głucho. Ale u stryjostwa i u nas było się niby w klatce, gdy cisza i pogoda Bożego świata obiecywała nagrodę sowitą za utraconą część politycznej rozmowy. Szedłem więc chętnie na dwór, a piękność tych nocy nie napełniała mi jak zwykle serca tęsknotą, i dziwnem pragnieniem, ale owszem pełna była spokoju, a złota, jak owa czara w balladzie Goethe'go, mówiła jak ona:

Trinke Muth des reinen Lebens

× ×

×

Może mi się to tylko zdawało, ale czułem wyraźnie że wielki poeta jaśniej i głośniej niż kiedykolwiek mówił do mnie na tej, jeżeli nie niemieckiej to pełnej Niemców, ziemi.. Gospodarz nasz, pan Skalnik, Czech rodem, ale Niemiec z usposobienia i powierzchowności, był ogrodnikiem i w obszernym ogrodzie za domem obrywał co rano listki suche u sztamowych róż. Były tam dwie altanki, gdziem rad siadywał z Goethem w ręku i czytywałem balladę „Ich kenn' ein Blümlein Wunderschön", a pełno wkoło mnie było róż, lilij, fiołków gwoździków i niezapominajek, które rozmawiają z uwięzionym rycerzem.. Przytem sam właściciel mógłby mi służyć za przykład jakiej postaci z „Hermanna i Dorotei," tylko był na ojca, oberżystę z pod złotego lwa, za łagodny, na aptekarza za uprzejmy, za poczciwy – chyba by mógł być sędzią i przewodnikiem wygnańców. Chodził staruszek, biały jak gołąb, po ścieżkach ogrodu, przypatrywał się każdemu kwiatowi i prosił mnie, żebym przyszedł obejrzeć

jego mineralogiczne zbiory. Bo on, chociaż pracował na chleb i dorabiał się z niczem, miał i czasu i majątku dosyć, aby się jednej ulubionej nauce oddać i przy końcu życia miał oprócz ogrodu i dwóch dużych domów bogatą kollekcyę minerałów. Był więc z niego taki wykształcony i postępowy obywatel jakim jest np. oberżysta lub pastor w poemacie Goethego.

Pani Skalnikowa, ta się krzątała więcej około kuchni i pokojów gościnnych, z pękiem kluczyków, w świeżym fartuszku, w czepku tiulowym białym, który śliczniej ujmował w ramki jej uśmiechniętą, ściągłą, drobną, pomarszczoną twarzyczkę, oświeconą parą żywych, piwnych oczu. Ona znów zabiegliwa i dobra jak matka Hermana, tylko z jakimś filuternym uśmiechem, odmładniającym zmarszczki i włos posrebrzony.

Mieli staruszkowie córkę. Niewiem jak jej było na imię: ja nazywałem ją Florą, od domu państwa Skalników, noszącego tytuł „zur Flora." Przystawa-

Ta do niej ta nazwa lepiej, niż do glinianego posążka, co stał u wejścia, otoczony kwiatami. Ona już nie była do Dorotei podobną; miała te same żywe oczy co matka, rumiana była i biała, zgrabna jak fryga, [redacted] i mimo lat pewno [redacted] osiemnastu miała coś nawskroś dziecinnego... Jeżeli nie przypominała bohaterek Goethego, to było u niej podobieństwo do jego najpierwszych ideałów: twarzyczka dziecka jak u Kätchen Schöneman a niby jakiś urok [redacted] sławnej „Lili", która, jak owo dziewczę, królowała w ogrodzie.... [redacted] Ciągle się krzątała; kiedy się nie śmieje [redacted], to śpiewa; różę ma we włosach, a w twarzy całej nie znać żadnej troski; ani na ręku, jak u Dorotei, pierścionka...

Cała rodzina, w skład której wchodziło jeszcze dwóch synów, kompletnych zresztą urwisów, [redacted] była niezwykle uprzejma, miła, swobodna, daleka od wyzyskiwania [redacted] i tak serdecznie i poprostu uważała nas za gości... W ich tedy ogrodzie usadawiałem

się naprzeciwko domu i — topiłem się w Goethem...
Na spacerach, nawet na tych, gdzie zrzędził poczciwy stryj Ludwik i gdzie wózkami zaprzężonymi osiełkiem jeździła ciotka Ludwikowa i pani Hortensya, a musiałem jako uznany za jej rycerza, nieraz popychać wehikuł lub kierować upartem zwierzeniem, nawet wtedy miałem w kieszeni małą, ozdobną edycyą liryk i ballad starego mistrza i otwierałem ją nieraz. Szło się zresztą obok dużego domu, zwanego dotąd „Goldene Traube" a dziś „Goethes Haus", gdzie poeta mieszkał trzy razy i odpoczynek wypadał nieraz w miejscu zwanem „Goethes Sitz", skąd on miał nieraz spoglądać z góry na Marienbad. Dziś widoku niema, bo świerki podrosły i zasłoniły kotlinę, ale na tem miejscu stoi granitowy obelisk z wyrytą na marmurze sławną „pieśnią nocną wędrowca": „Ueber allen Gipfeln ist Ruh."
Nie brakowało więc na ciągłych wspomnieniach

poety, a noc, gdy nadeszła taka cicha i jasna jak w owe ostatnie dni naszego pobytu, to budziła znów w duszy znaną piosenkę, najczęściej w przekładzie p. Lathey'a:

Na wierzchołkach drzew noc cicha...

× ×

×

Ale to wszystko na to tylko ~~mówię~~, aby stwierdzić, że w Marienbadzie było mi ogółem wcale dobrze. Spacery, studyowanie ludzi, czytywanie powiastek Ouidy z panią Hortensyą, słuchanie muzyki w południe u Waldquelle, wieczorem przy Kreuzbrunnie, czytanie Goethego zabierało czas. To też, jakkolwiek mię nęciła podróż w świat dalej, nie bez żalu chodziłem w księżycowy wieczór, słuchając szumu fontanny na placu Franciszka Józefa — w wilią wyjazdu z Marienbadu. Słodziły mi zresztą smutek marki licznym oszczakiem srebrzące się w mej portmonetce i nadzieja kilku dni wakacyj spędzonych rozkosznie w Mona-

chium... Dziś z rozrzewnieniem wspominam te czasy, dziś gdy mam tylko świadomość tego, czego nie umiem i że na maturze t. j. za pięć dni umieć nie będę i tylko kłopoty, skąd wziąć pieniędzy, których nie brak... Ale szczególniej nie bez wzruszenia myślę o wieczorze, kiedy mi się marzyło ustawnie: „Monachium – to Ateny" i drżałem na myśl poznania greckiego piękna.... A pogoda wieczoru dopowiadała mi wiele rzeczy, których umysł w zwykłym stanie nie byłby się domyślił.–

I rzeczywistość odpowiedziała nadziejom. Podróż do stolicy Bawaryi miała tylko jedną wadę: trwała za krótko. Zresztą towarzyszyła jej pogoda i los sprzyjał. Mnie zaś, rozkołysanemu poezyą Goethe'go, zdała się illustracyą do najpiękniejszéj jego pieśni, do śpiewu Mignon, wyrażającego wieczną tęsknotę serc ludzkich za krajami piękności i wiosny..

16-go Czerwca 1881.

Wyjazd z Marienbadu. – P. Topolnicki. – Eger. – Walhalla. – Druga zwrotka pieśni Mignon. – Ratysbona wieczorem. –

Ranek w dzień wyjazdu był śliczny*: świeży, jakby jeszcze na pół senny, a słoneczny. Ile razy go wspomnę nasuwa mi się na myśl pierwsza zwrotka „Zueignung" Goethe'go i na odwrót nie czytam nigdy tego poematu, żebym nie ujrzał oczyma pamięci pagórków zielonych Marienbadzkich kąpiących się w blaskach i liści srebrnych perłami rosy.

Der Morgen kam; es scheuchten seine Tritte
Den leisen Schlaf, der mich gelind umfing,
Dass ich, erwacht, aus meiner stillen Hütte
Den Berg hinauf mit frischer Seele ging;
Ich freute mich bei einem jeden Schritte
Der neuen Blume, die voll Tropfen hing;
Der junge Tag erhob sich mit Entzücken,

Und alles ward erquickt mich zu erquicken. –

Rzeczywiście było coś dziwnego, w tym ranku, którym natura zdawała się popisywać przed nami jak owe codzienne nocą. Pożegnawszy się z rodzicami, poszedłem do gospodarza polecić się jego pamięci. Było to przed szóstą rano: staruszek spał jeszcze, wyszła do mnie tylko matka i córka. Pocałowałem starą w rękę i uścisnąłem dłoń panny Flory, która mię potem wychodzącego już obdarzyła bukiecikiem z róż świeżo zerwanych i zawiązanych przez nią na prędce...

Towarzysze podróży: Stryj Ludwik i Tolo byli już gotowi i czekali mnie w „Tepelhaus." Ciotka poleciła mi, żebym czuwał nad jej mężem. Zarząd domu przysłał Stryjowi duży bukiet, mnie pewno (bezinteresowny dar od moich białych i różanych pączków – wsiedliśmy do powozu, mającego nas zawieść na kolej, żegnani przez niespokojną ciocię.

Marienbadzcy chorzy podążali dopiero do zdrojowisk i ranek był jeszcze zawsze świeży i cichy. Tylko na świecących łupkowych dachach błyskały [redacted] białą piersią tysiące jaskółek i bijąc skrzydłami upominały się głośno o powrót do cieplic.

A myśmy właśnie podążali na południe...

× ×

×

W [redacted] wagonie chwilą ciszy pożegnaliśmy skrywający się za górami Marienbad.

Gdy się rozmowa zaczęła, wmięszał się do niej niebawem mężczyzna 50-letni, z naprzeciwko mnie siedzący. Zachęciła go polska mowa, której dźwięk dziwnie miło brzmi zagranicą polskiemu uchu. Jechaliśmy ze Stryjem do Monachium, w wagonie wisiała karta ogłaszająca, że już od kilku miesięcy otwarto tamże międzynarodową wystawę obrazów i rzeźb — zaczęła się więc rozmowa o sztuce, ale w zupełnie inny sposób niżbym ja tego pragnął. Stryj znalazł poparcie w mojem

visà-vis, poparcie co do jego znanych teoryj o bezużyteczności sztuki: „Byt materyalny" mówił Stryj podnosząc indeks prawej ręki „i wiara." /tu podniósł indeks lewej ręki/ „oto dwie podstawy bytu narodów, a wszystko inne to tylko marne ozdoby." Przy tych słowach dawał Stryj poznać za pomocą ruchu palców, że to wszystko inne t. j. literatura i sztuka zajmuje miejsce nitki wiążącej dwa podniesione wskazujące palce. I może wydał on bezwiednie krytykę swego ~~[illegible]~~ aforyzmu – bo dwie podstawy bytu narodów stały się odrębnymi słupami, które w zrąb całości powiązała nie jako ozdoba lecz jako wiązanie – służba wieczystego Piękna, która ma w sobie coś z służby Bogu, coś z posilnej strawy i dzielnego napoju krzepiącego fizyczne siły. Ale sąsiad Lwowianin także nie kochał sztuki i sprzedałby widocznie Mickiewicza i Matejkę za dwa czeskie, gdyby mu tę czynność powierzył Bank; którego

jest urzędnikiem. Swoją drogą nie był to człowiek ograniczony, ale jak u nas zwykle bywa, kiedy gorliwy to bez miary.

W ten sposób zaczęło się rozpraszanie moich snów kilkudniowych i kilkonocnych snów, z których mnie nie wytrzeźwił był ranek... A równocześnie jęło się niebo zachmurzać i smutnieć. Gdyśmy dojeżdżali do miasta Eger / po czesku Cheb / deszcz się rozpluskał na dobre a pan Topolnicki – tak się zwał ów przeciwnik sztuki – zwrócił się do młodego pokolenia z przemową, aby rzuciło „marność, która uczy" i pomyślało o dobrobycie.. Przyjęliśmy z Tolem te uwagi tak, jakbyśmy byli poza wagonem i mokli na deszczu pomimo podniesionego kołnierza – t. j. 2) czekaliśmy aż p. Topolnicki skończy [illegible] za przykładem Paryżanów...

Que fait-on a Paris quand il pleut?

On laisse pleuvoir. –

W Eger wysiedliśmy, pożegnawszy Szwajcarina.

* *

*

Dorożka zawiozła nas na odległy od dworca kolei rynek. Tu byliśmy w przeszłości, w szarem, średniowiecznem miasteczku. Domy na tym olbrzymim rynku zwracają się szczytami ku kamiennym fontannom. Połowa tych ostrokończastych, dachówką krytych budowli zajmuje stok pagórka, druga część leży na dole; stąd się i koślawy bruk falisto podnosi. Kilka domów stoi na środku rynku i dziwniej jeszcze od innych spoglądają na przybyszy małemi oknami, ponad któremi jak kaptur sterczy dach ceglany. Deszcz tym czasem ustał i myśmy zaczęli piechotą, na parasolach oparci, odbywać wędrówkę po zaułkach miasta.

Miało ono to szczęście, że z niego wyszła trzydziestoletnia wojna i że w niem się rozegrał krwawy dramat zakończony śmiercią jego bohatera, „boga" owej wojny.

A

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

ale

naz

pr

ler

o (

Pr

nę

jeź

naj

epil

ka

du

ta

ou

jej

mie

pię

i zbro-
nie wy-
ek.
edrając
pamięci
strasznej
ianach,
zcum
" Nad
wisi
te
chium...
rielle
~~zyporczny~~.

A szczęściem jest i to także, że ~~[illegible]~~ jej rycerzy podjęła z pyłu ksiąg historycznych i z kamiennych grobowców — poezya, a jej dotknięcie dopiero nazywa się sławą. Na rynku miasteczka obok domu, gdzie zamordowano Wallensteina, jest jeden dom stary, w którym mieszkał Szyller zbierając do swojej trylogii materyały, jak o tem świadczy marmurowa tablica. A prawie naprzeciwko stoi hotel „zur Sonne", gdzie Goethe parę razy przebywał w przejeździe przez Eger. I o tem także mówi napis ~~złoty~~ na kamieniu. Tak więc, jak wszędzie w Niemczech, w każdym domu, w każdej biblioteczce i na każdym prawie kominku jest tu pomnik dwóch wielkich przyjaciół.

Dzisiejszy ratusz to dom, gdzie padł „książę Frydlandzki" pod ciosami zabójców. W wielkim pokoju na pierwszym piętrze stoi halabarda, którą miano dokonać mordu i klucznik tej sali pokazuje miejsce, gdzie w koszuli, wywleczony prawie z łóżka, leżał wódz, bro-

cząc krwią podłogę. Takim go przedstawia obraz Piloty'ego, który potem widziałem w Monachium, a którego fotografia wisi nad miejscem zabójstwa. Leży tam Wallenstein martwy, w bieli, siny bladością śmierci i księżycowem światłem. Seni, astrolog jego stoi nad trupem z schyloną głową, z załamanemi rękoma. Ranek już srebrzeć zaczyna, blada gwiazda pali się na niebie, zawieszona między głową wróżbity i księcia.

Obok tej sali jest muzeum etnograficzno-historyczne okolic miasta i ciemna komora, do której nie chce się wchodzić, aby uniknąć widoku narzędzi tortury.

× ×

×

Na górze zamek z XII wieku, z wieżą posępną i czarną, z mostkiem jakimś zwodzonym. Wieża z lawy stawiana, ciosanej w płyty a dobytej z pobliskich zagasłych wulkanów.

Z zameczku tego widok na okoliczne równiny przecięte czarną wstęgą rzeki Eger i na góry, które się tu dzielą na Kruszcowe (Erzgebirge) i Las Czeski cz. Szumawę (Böhmerwald), dwa ramiona obejmujace Czechy, a wychodzace z pnia gór Sosnowych, u podnóża których miasto nasze też leży. Z budowli nie wiele zostało. Kaplica składa się z dwóch na sobie stojących świątynek. Wyższa z 13-go wieku w stylu ostrołukowym, nie wielka i nie szczególna niczem.. Po schodach schodzi się do drugiej, mrocznej, pełnej surowości i powagi wspartej na 4 romańskich kolumnach, * sklepionej... W tej jest coś majestatycznie-ponurego, rzekłbym pogańskiego. Wygląda ona trochę na świątynię, w której się straszne jakieś i dziwaczne obrzędy północnych ludów odbywają... Aż lżej na duszy, kiedy się z niej wyjdzie.

Wielkiej sali zamkowej służy dziś ziemia za podłogę

trawa za kobierzec, a niebo za strop. Z ścian bocznych pozostały po większej części same kamienne arkady i futryny ogromnych okien. Dziwne uczucie ogarnia patrzącego z góry na spustoszenie tej sali, gdzie pieniły się puhary podczas gdy mordowano Wallensteina, a gdzie dziś „powoju roślina zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia." Zresztą nic już w tym zamczysku niema i odźwierny wypuszcza nas znowu przez czarną bramę z lawy.

x x

x

Tuż przy rynku jest stary z XII wieku pochodzący kościół św. Mikołaja. Jak wszystko w tem mieście jest on dziwnie szary, prawie czarny, a słońce, gdy wyjdzie zza chmur, z obawą rzuca na jego ściany promyki. Wieże dwie, były (do XV podobno wieku, jak świadczy rysunek w muzeum miejskim przechowany, zakończone okrągłemi

czapkami podobnie jak niższa wieża u Panny
Maryi w Krakowie, albo raczej jak wieże
„Frauenkirche" w Monachium. Dziś noszą obie
spiczaste dachy blaszane, z takim wień-
cem małych wieżyczek jak wyższa wieża Pan-
ny Maryi. Wewnątrz dziwnego rodzaju słupy
dźwigają gotyckie sklepienie. Nie są to
graniaste filary ostrołuku, ale raczej okrągłe kolumny
tylko bez podstaw i głowic i nie z jednéj
wykute bryły.. Słup tegoż samego rodzaju
podtrzymuje całe sklepienie kościoła św.
Krzyża w Krakowie...
Ja sobie tego architektonicznego zjawiska wy-
tłomaczyć nie umiem. Czyż to są zabytki
romanizmu ?..

× × ×

Dosyć już o Eger i jego ciekawościach. Miasto
szare, niebo szare, i styl mój i humor i werwa
przypominają trochę popiół. Dość już o Eger.

× ×

×

Po obiedzie na dworcu pojedziemy dalej. Rewizya tylko pakunków nas czeka, bo tu granica bawarska. Stryj przypomina pana Topolnickiego przy stole i nie dość że go ogarnia względem niego niższy stopień zachwytu, ale wdzięczny mu jest, że tak w porę poukręcał — jak Stryj mniema — głowy naszym zachciankom i ideałom. Potem Stryj pisze list do żony, Tolo do matki, a ja do Józia. Jak to się jednak zwykle dzieje, pozostaje list w mojej kieszeni i wiozę go ze sobą do Monachium... Już też to i Bawarya, która mówiąc słowami Feuilleta jest najzupełniej _vouée_ _au_ _bleu_. Naprzód dla tego, że kolejowi konduktorowie, rogatki, skrzynki pocztowe wszystko to nosi mundur ślicznego błękitnego koloru, a potem, że się państewko zapatrzyło na

Ateny, zakochało w doryckim stylu i w posą-
gach i żyło sobie sztuką i błękitem.
Choć tu podobno nie bardzo bujna ziemia,
chętnie wygląda się przez okno, bo pełno
zieloności przy drodze, a oko ściga znikające
kołpakowate szczyty Fichtelgebirge...
Wyjaśnia się niebo, a kiedy dojeżdżamy do Raty-
bonny, słońce już świeci w najlepsze. Pociąg
unosi nas przez Dunaj i jest jedna chwila
taka, gdzie się słońce i miasto i dwie wieże
katedry odbijają w srebrnej, źwierciadlanej
rzece... Katedra czarna, przykuwa oczy do
siebie majestatem i pięknością. Nie tak wielka
jak św. Szczepan w Wiedniu, ale cała wykoń-
czona, wydziergana, jak cacko i stoi tak, że
ją całą okiem objąć można. Podobniejsza raczej
do Votivkirche tylko znać ~~na niej~~ wieki, które
przeszły ponad jej łukami i ma tę jakąś powa-
gę i prostotę, którą posiadają tylko dawne go-
tyckie kościoły. Ostrołuk ~~wypaczy~~ stał się dziś

zabawką: podoba się, jak koronka, ale nie mówi nic, nie woła, jakby powiedział Słowacki „prosto a hymnem."

Miasto wygląda ogółem trochę jak Kraków. Stare kościoły, baszty, przewijająca się środkiem murów zielona wstęga „plantacyj"; tylko że dachy tu sterczą jak dawniej na domach, że nowożytne gzymsy nie przerobiły pięknych pałaców i pięknych ~~[illegible]~~ średniowiecznych domów na brzydkie kamienice. My nie zaglądamy na teraz do (samego) miasta, jedziemy wprost do Walhalli, odległej o półtora mili, chcąc oddać hołd naprzód greckiej świątyni a potem gotyckiemu średniowiecznemu światu.

× ×

×

Walhalla, mówi Stryj, ~~[illegible]~~ ma ~~[illegible]~~ cel chybiony. Zapewne stawiać świątynię Sławy to w chrześciańskich ~~[illegible]~~ czasach jest conajmniej dziwne i profesor Czubek miałby tu śliczne pole do

powtórzenia swych nauk o zapatrywaniu się naszem i starożytnych na sławę. To pobudka pogańska, mówi on, a w głębi duszy odzywa się wykrzyknik Szczęsnego: „sława to piękna rzecz! warto na nią pracować." A jednak ja sam często myślę inaczej... Walhalla jest w każdym razie nieszczęśliwym pomysłem króla Ludwika, bo jest świątynią postawioną ludziom, a potem bo jej tu obco i dziwnie na wzgórzu porośniętym świerkami. Partenon z całą potęgą swego spokoju i majestatu przeniósł się tu nad brzeg Dunaju. Na doryckie słupy z różanego marmuru rzucił artysta architrab i gzyms i tympanon, a Schwantaler umieścił na nim Bawaryę rozdającą wieńce sztukmistrzom. Zamiast jakiej stojącej śród poległych i walczących Ateny, siadła tu marmurowa allegorya wśród cichej grupy rzemieślników... To ku południowi a na półno-

cnej ściani ~~jest~~ płaskorzeźba przedstawiająca epizod z germańsko-rzymskich wojen, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ przemocą umieszczona na tym gmachu greckim. Jemu by potrzeba, aby ~~go~~ codzień witało wschodzący od Eubei ~~[illegible]~~ Helios, aby go zalewał światłem, aby kształty ~~jego~~ białe świątyni odbijały od ciemnego nieba i drzemiących oliwkowych gajów, potrzebaby mu także – o pia desideria! – aby na schodach jego siadały dziady srebrnowłose ze starą lutnią w dłoni, aby w świątyni stała jaka Venus Milońska lub Athene Fidiasza, aby „nic zamarło w rzeczywistości, co ma wiecznie żyć w pieśni." – Dziś jednak pomimo ~~[illegible]~~ tych braków, pomimo owych tak olbrzymich schodów, że przy nich ginie gmach ściśle według rozmiarów Partenonu stawiany, pomimo tego, że budowla ta jest raczej muzeum niż świątynią, robi Walhalla dziwne, choć smutne nieco wrażenie. Zwłaszcza gdy wychodząc z

bliskiego gaju ujrzy się o sto kroków uroczyście zadumany, na stu kolumnach wsparty, od słońca zachodzącego czerwony gmach, będący jak objawieniem Grecyi, serce się staje niespokojne i pełne zdumienia. Zdaje się naprzód, że to sen, aż pod kolumnami czuje się człowiek w zmartwychwstałej Helladzie. Od wrót gmachu rzuca się dumne spojrzenie na góry zamykające widnokrąg i na srebrno-błękitny Dunaj, który się zdaje smugą śród zieleni. Na prawo w pół-zmierzchu pół-zorzy stoi Ratysbona.

Ma się wtedy poczucie nieodgadnione otuchy, spokoju i siły. Dorycki słupów szereg zniżający się w dali napełnia duszę hartem. Przytem jest wieczór pogodny i słońce czerwieni lekko różany z natury już marmur; to jest jakby hołdem przyrody dla dzieła ręki ludzkiej, hołdem starego słońca dla ateńskiego gmachu. Myśli się wtedy o Przy-

mianach, co założyli Ratysbonę, a raczej o-
bóz tam, gdzie dzisiaj miasto stoi.
Ani im się tu śniło o greckiej budowie
na cześć duchów oddanych pięknu i sztuce,
ani o kościele chrześcijańskim wśród tych gór
lesistych. — W każdym razie odetchnąłby tu swo-
bodnie Irydion, syn Amfilocha Greka i kapłan-
ki Odyna, Irydion obudzony ze
snu i obroniony przez aniołów.

A jak z bliska, z gaju, wygląda Walhalla
smutnie, choć wspaniale, bo czuje się, że ona
tu jest sztuczną i nieswojską, tak znów z
daleka widząc ją na wzgórzu czarnem, ~~rzadko~~
uwieńczonem rzadkiemi winnymi szczepy, można
uwierzyć na chwilę, że jedzie się na ucztę
u ogniska, gdzie gospodarz wprzód z puhara ~~wina~~ na
objatę bogom uleje, a potem poda nam
wina w kraterach rozmięszanego z wodą.
I mimowoli plącze się po ustach druga

zwrotka piosenki Mignon'y:
Kennst

Podobieństwo tej zwrotki do rzeczywistości, ocenia się dopiero, wchodząc do wnętrza świątyni. Około 90 biustów stoi na konsolach po dwóch stronach marmurowej sali

a wszystkie mnie
witają twarzą białą:
pielgrzymie nasz,
ach, co się z tobą stało.[2]

Rzeczywiście jest o co pytać. Wyglądamy wszyscy dość pociesznie z parasolami w ręku, na których się opierać niewolno, z Baedecker'ami i w filcowych papuciach gwoli zachowania marmurowej

posadzki. Ale i zaciekawienie i cześć jakąś widzą na twarzach podróżnych posągi. Pusto tu, ale uroczyście. Sala z czerwonego marmuru na dwa przeszło piętra wysoka; dzieli je fryz biały biegący wokoło, podparty na pilastrach. Strop pokryty kasetonami, gdzie złote gwiazdy lśnią na błękitnych polach, załamany jest na 2 części, jak dach. — Podtrzymują go złociste Walkirye, dźwigające fryz drugi. Światło pada przez oszklone części sufitu. Sześć posągów Zwycięstwa, kutych w karraryjskim kamieniu, strzeże nieśmiertelnych; skrzydła mają anielskie i wieńce w dłoni. Sześć marmurowych białych świeczników i tylko siedzeń starożytnych z takiego materyału stanowi jedyną ozdobę sali, oprócz napisów, posągu i fryzów w płaskorzeźbie. ~~Na~~ Nad niższym tkwią w murze tablice z imionami ludzi, których portrety nie są znane. Na niektórych i imion niema, są tylko wymienieni jako

autorowie lub sprawcy znanych dzieł lub czynów. „Są to ptaki" mówi o takich bezimiennych poetach Fryderyk Ozanam „które się własnemi zasłoniły skrzydłami." W świątyni Sławy są i wielcy a nie sławni, „po owocach ich tylko poznajesz je", a oni niedbali o rozgłos leżą w zapomnianej mogile. Tablice te więcej mówią niż marmurowe biusty wysławianych. Najpiękniejszy Szyller, śmiały jak Apollo, promieniejący młodością i wiosną. Goethe wygląda tu trochę jak „Philister" bez iskry geniuszu na twarzy. Kant z żółtawego zrobiony marmuru uchorowany i kwaśny. Dalej cesarzowa Katarzyna [redacted] i Kopernik – urojona duchowa potęga, a raczej demoniczna siła umysłowa i – geniusz kradziony. W głębi sali dwie jońskie kolumny stoją [redacted] u wejścia do małej komory, [redacted] naśladowanej także ze starożytnych świątyń. Ma tu stanąć posąg króla Ludwika, „co te stworzył cuda", posąg w całej postaci śród owych popiersi germańskich mężów.

x x

x

Jednakże musi coś być w tym gmachu, w tej świątyni wielkich duchów, w tej pamiątce Grecyi na poważnej, do Piękna zawsze tęskniącej germańskiej ziemi, coś coby gniewało pana Topolnickiego, bo Stryj się otulił w pelerynę i milczał nie bardzo zadowolony, Tolo spoglądał na omroczoną i białą śród zmroku Walhallę, a ja, siedzący obok Stryja, odwracałem się też ku niej nie przerywając złotego milczenia. Zasłuchaliśmy się tak w turkot powozu, tak zapatrzyli w wieczorny krajobraz, że szybko bardzo ujrzeliśmy się u wrót Ratysbony. Był to śliczny, chłodny wieczór:, miasto fantastycznie, średniowiecznie piętrzyło się do góry, na linii drogi żelaznej pozapalano różnobarwne znaki, cisza zasiadła na koronach drzew. Gdyśmy wjeżdżali do miasta, zmrok już był gęsty, ciemny.

Powóz nasz dudnił po kamiennym moście na Dunaju. W ciemności zarysowywały się kontury baszty sterczącej na cyplu objętym jak ~~ramionami~~ dwoma ramionami: korytem „błękitnej rzeki" i jej dopływu Regen. Widać było z mostu jak się zlewają ich wody. Księżyc był tymczasem wysunął się z za obłoczków i rozpromienił się zupełnie, na brzegu rzek stały zapalone latarnie, w domach błyskały lampy. Cała ta jasność mięszała się z siną barwą wody, która tworzy wiry, szumi i burzy się ~~na~~ dole. Zdawało się, że ~~się~~ fale srebrne wrą. Za mostem ulica pełna domów jakichś dziwacznych, okrągło zakończonych, jak przecięte (na dwoje) bochenki. Gdzieniegdzie przy starych kamienicach wznoszą się baszty obronne; jest taka i w hotelu, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ „zum Goldenen Kreuz", gdzie stajemy a gdzie miał ~~[illegible]~~ mieszkać Karol V

Na kolacyi spotykamy całą rodzinę Anglików, studyujących Murrey'a i pijemy prawdziwe piwo bawarskie. –

Na miasto już nie warto wychodzić. Stryj siada na kanapie i otacza się dymem i myślami, a my stajemy w otwartem oknie i patrzymy na basztę i na (starą) ulicę... Cicho już dosyć, chłód ogarnia nam pokój.... Róże panny Flory już powiędły i spuściły głowę - zasuszam co mogę w podróżnej bibliotece..

Zaczęte d. 17-go Czerwca 1887.

Skończone d. 21-go Czerwca 1887. t.j. w wilię ustnej matury.

Rzut oka na Ratyzbonę. Katedra. Droga do Monachium. Alpy. ~~[illegible]~~ Pierwsza zwrotka pieśni Mignon. Przybycie do Monachium.

Ranek świeży, wesoły, jasny. Przed dziewiątą mamy wyjechać do Monachium, trzeba więc obejrzeć, co się da, po mieście. Idąc ku katedrze widzimy jej czarne, ozdobne, ~~mury~~ ~~[illegible]~~ na końcu wąskiej uliczki... To to prześliczne, ściany pociemniałe ~~[illegible]~~ od wieków porznięte na gotyckie gzymsy, łuczki i ~~[illegible]~~ figlasy świecą się tu i owdzie od porannego słońca, które się bawi rzucaniem promyków i igra blaskiem i cieniem. W powietrzu tem, mającem całą niepokalaność ranka, dziwnie lekko, podniośle, uroczo przedstawia się czarny gmach z ostrołuków, pół świetlny, pół ponury, sięgający w bladawe jeszcze, jeszcze chłodem wiejące niebo. To wszystko tło do obrazu. Na pierwszym planie przekupki królujące śród koszów jarzyn i owoców.

Strój ich barwny, jaskrawo odbija od murów ulicy. W olbrzymich koszach fioletowe śliwy, złociste morele, a nadewszystko przezroczyste białe winogrona, na które także patrzy łakome słońce... Po kilku wschodkach wchodzimy do katedry. Budowana w XIII wieku w najczystszym ostrołuku otrzymała dopiero w tym wieku zakończenia dwóch wieżyc, które przedtem były ucięte jak u Notre Dame w Paryżu. U wchodu ma rodzaj portyku, opartego na jednym słupie i łamanego w sklepienia i wieżyczki. Wewnątrz uroczyście i pobożnie. Światło spływa przez okna kolorowe, oświecając odmiennie nawy i zakątki. Łuki jak palmowe liście rozwijają się po sklepie, a na dole czyhają potwory kamienne i smoki. W całym domu Bożym podniośle i odwiecznie. Nagrobki stoją śród kościoła, okrążonego gankiem, a jeden niewielki świeci fioletowym odbłyskiem i gwiazdami odbitego słońca. To Vischera rzeźba przedstawiająca Chrystusa

u sióstr Łazarzowych... Oko się chętnie zawiesza na łukach, rzeźbach i na całym bajecznym zwierzyńcu średniowiecznej katedry. Nie powiedziałbym, aby miała ona robić to potężne wrażenie, mistyczne i święte, do jakiego dąży ostrołuk... Owszem w niej jasno i wesoło raczej niż poważnie, więcej ona piękna niż pobożna. Chociaż i tutaj muszą być zakątki i podnóża filarów, gdzie się myśli nasuwają święte i dziwne pragnienie ogarnia serca ludzkie... Nie jest to zawsze ów gmach stary i mroczny, bez ostrołukowych ozdób stawiany, a nawet pełen brzydkich ołtarzy i nagrobków, ale taki podniosły i święty, nie ten to gmach z złotym ołtarzem świecącym w mrocznej nawie, z trzema słońcami śród różnobarwnych okien, chłodny i poważny, niedbały na ludzkie zdarzenia i losy, zajęty tylko Bogiem, który w nim przebywa „dobrym na życie, złym na śmierć.” Nie ten to kościół zawsze piękny ogromem i śmiałością, o każdej porze i przy każdem

świetle – gdzie się godziny ogląda ołtarz starego mistrza i w stallach przesiaduje tak chętnie, gdzie krucyfiks na srebrnej blasze rozpięty stroją więcej od złotych aniołów i sztucznych kwiatów modlitwy i wspomnienia, gdzie tak do góry daleko, a tak się lekko płynie.... Niema to już jak ta stara, poszpecona pobożną dłonią przodków a tak wysoko ramionami praojców wzniesiona, krakowska świątynia. Tam się inaczej modlić można niż w cudownej Ratysbońskiej katedrze. (Pisane 24 Czerwca 1881)

x x

x

Ze smutkiem i rozrzewnieniem czytam dziś te słowa pisane pośpiesznie i wszystko przed samą i po samej maturze. Dziś jestem słuchaczem praw i pierwsze wykłady, które dziś słyszałem, umocniły mię w przekonaniu że z moich zamiarów, zapałów, nadziei i pragnień nie będzie już nic, nic z mojej młodości. Jestem zniechęcony i tak już upadły, że chodzę jak w mgle i tylko czasem ból schwyta mię

za serce. – Słów nadziei sobie nie powtarzam, chyba z Iorze-czenia.

18 Października 1877.

Trzeba z niej było niebawem wychodzić bo czas naglił bardzo... Pobiegliśmy jednak jeszcze do kościoła św. Jakóba, zwanego Szkockim (Schottenkirche) sławnej romańskiej budowy z XII w. Aż do ostatnich czasów mieszkali tu szkoccy Benedyktyni i oni to nazwę kościołowi nadali. Był on już czy jeszcze zamknięty a nie mieliśmy czasu odszukiwać się do odźwiernego, aby go otworzył. Stanęliśmy zatem tylko chwilę przed bocznym portykiem ciosanym z kamienia. Stary już i poczerniały; wykuty przed wiekami dłutem niezręcznem i nieśmiałem ucierpiał wiele od późniejszych wieków. Na półkolu odrzwi romańskich ujętych w zwykłe okrągłe obręcze pomieściła myśl i dłoń sztukmistrza pełno sztywnych, twardych, kamiennych postaci. Są i boskie i ludzkie i zwierzęce, naciśnięte na siebie bezładnie

Myśli przewodniej dziś odkryć nie można. Ale w barbarzyńskiem tem, grubem i niekształtnem dziele jest coś co wzbudza obok ciekawości szacunek. Czy to cześć dla pomnika z czasów krucyat, co przetrwał i przedumał na tej ścianie wieki,* czy jest w tych postaciach coś świętego? Otóż w tej królującej po środku figurze Boga o sztywnie-śmiesznej dłoni czuć, co artysta myślał gdy po pacierzu samym brał młot w rękę i dłuto do kamienia przykładał. Jedni artyści myśleli wiele a mówili mało i tych nazywano wielkimi, drudzy mówili więcej niż myśleli lub mówili bezmyślnie i tym chcą dawać miano wielkich... Mnie więcej porusza obraz i pieśń tego, co walcząc z trudnościami, pierwszy na swej drodze, malowałby i pisał jak dziad z pod Sokala, gdyby nie to, że miał przed oczyma i w duszy cuda wielkie, których nie potrafi wykonać. On się położy do grobu, ale myśli błyszczą

nad mogiłami jak ogniki, wskazujące skarby... Myśli nie giną i przetrwają wieki... Dość nieraz odczuć dziś ideał, aby go jutro urzeczywistnili drudzy... Chodzi tylko o to, aby kochać i pragnąć... Nie ~~ten~~ zawsze ten największy, kto dokona dzieła, ~~bywa~~, że ideał wielki zrodzi się w głowie pokornej. ~~[illegible]~~... Powinienby to sobie p. Topolnicki rozważyć.

× ×

×

Gdyśmy odeszli od portyku, czas było jechać na kolej. Usiedliśmy więc do omnibusu hotelowego, zbudowanego miejscowym obyczajem t. j. do rury i długiej i wąskiej i ciasnej i ruszyliśmy ku dworcowi. W Baedeckerze ukrywałem dwie fotografie sławnych odrzwi, ukrywałem przed okiem Stryja, gotowego się gorszyć, że pieniądze przez okno wyrzucam. Być na miejscu, ~~[illegible]~~ popatrzeć się (jak najkrócej) i iść dalej, unosząc nieokreślone wspomnienie

to zupełnie wystarcza – zwłaszcza dla takich młodzików... Ja więc tuliłem do siebie fotografie wraz z Baedeckerem o czerwonej okładce, aż je zdołałem umieścić w kieszeni obok widoków Eger i Walhalli...

Miasto połyskiwało jeszcze owym rannym, złocistym światłem jesiennego słońca, czerwonawym i wesołym. Ulice i place usuwały się w głąb i znikały nam z oczu, kryjąc się za ramy okien w omnibusie... Miasto miało ów pozór uśmiechnięty i cichy, jakie nadaje pogodne rano. Nasz wehikuł tylko grzmiał po bruku z łoskotem i turkotem. Gdyśmy z niego wysiedli i udali się do sal kolejowego dworca, pociągi wsuwały się już pod jego obszerny, oszklony dach... Zasiedliśmy w wagonie i niebawem malały i znikały domy i wieże uroczego miasta. Chwila tylko a Walhalla ukazała się nam na wzgórzu dalekiem, obrócona przodem, poważna i uroczysta, ale rankiem owym chmurnym sino, śmiertelnie biała... Niebiosa jasne i tchnące

w Ratysbonie dziwną, pełną blasku i świeżości pogodę, zaczęły się zasłaniać szarymi obłokami. Stojąc w oknie patrzyłem na równinę szwabską zieloną, spokojną, dobrze zabudowaną i dobrze uprawną. Jesień to była i zboża na polu nie stały, ale staranność objawiała się każdym gościńcem sadzonym, każdym rowem na prześlicznych łąkach. Gdy słońce znowu z za chmur wyszło nabrały one zieloności prawie wiosennej, krajobraz ożył, rozweselił się i uśmiechnął. Nie dziw, że kiedy Boga prawdziwego nieznano, cześć ~~boską~~ i miłość zaczęto temu najżywszemu z cudów natury oddawać. On życie budzi i rozwija, on z fizycznem ciepłem moralną daje radość, jest wyrazem jedynej pięknej rzeczy na świecie – życia. Gdy wtedy wyjrzał, on piękny, on boski, ~~najpiękniejszy~~ on gładki bóg Hellenów, zrobiło mi się dziwnie lekko i błogo.. Śledziłem z rozkoszą bawarskie domki białe z kratą ciemnych belek, z wielkiemi okiennicami, z wysokim dachem i tą fizyonomią malowniczą, obiecującą ciepłe wewnątrz ognisko, nasuwającą

myśl o szczęśliwych mieszkańcach, sentymentalnych Niemeczkach blondynkach, o muzyce, ~~[illegible]~~ uczciwem o jakiemś ~~[illegible]~~ cichem marzeniu młynareczki ~~[illegible]~~ i młodego sąsiada, o całym tym idealnym świecie, gdzie według Göthego

Tages Arbeit, Abends Gäste

Saure Wochen, frohe Feste —

gdzie może jest jedyne rzeczywiste szczęście na ziemi.. Wśród wsi i pól ciągle bieleją mury kościoła... Jak okiem rzucić z wagonu, zawsze się kilka kościołków naraz ujrzy, wszystkie ~~[illegible]~~, w jednym stylu i zupełnie na jeden wzór stawiane, białe, nie wielkie, kryte dachówką z wielką na przedzie kwadratową ściętą u góry wieżą. Wszystkie nawet w tę samą obrócono stronę, co oczywiście jednostajności krajobrazu nie przerywa. Mijamy Eggmühl, pole bitwy w 1809 r. stoczonej między Austryakami a generałem Davoust i Landshut z ~~[illegible]~~ olbrzymią wieżą, sterczącą ~~[illegible]~~ jak Częstochowska ponad swoim kościołem. Niższa o 3 metry od wieży św. Mikołaja w Hamburgu, o metr od

Sztrassburgskiej przewyższała (ona) o 5 metrów Św. Szczepana i o 8 kopułę św. Piotra w Rzymie. Kościół, do którego należy budowany w XV wieku a zaczęty w XIV nie przedstawia, przynajmniej z tej odległości, z jakiej go oglądamy, nic szczególnego i na zewnątrz cech [illegible] swego czasu nie nosi. Miasto, całe, ugrupowane malowniczo koło wieży, wydaje się za to miłą i sympatyczną niemiecką siedzibą, z [illegible] atmosferą gemüthlichkkeitu i spokoju. Pociąg rusza dalej i ja, zły towarzysz, staję znowu przy oknie i ostatnie spojrzenia rzucam na Landshut, dawną siedzibę bawarskiego uniwersytetu, przeniesionego dziś do Monachium. Przebiegamy okolicę zawsze dosyć jednostajną i płaską, zieloną, poprzerzynaną korytami potoków. Na wzgórzach siedzą czasem zamki, mówiąc wspomnieniem o Hohensztaufach i [illegible] [illegible] [illegible] o Konradynie, co się w Trausnitz urodził; nad brzegiem rwącej Izary gromadzą się spiczaste domy miasteczek. Ale dźwięczniejszym mówią głosem od wspomnień średniowiecznych Cezarów

~~[illegible]~~ i zgiełku barwnego niemieckiego grodu te sine, niezbyt widoczne, mgławicą przesłonięte, poszarpane a śmiałe szczyty dalekich Alp... Nie wiem, czy kiedy jaki wyraz zrobił na mnie silniejsze, bardziej błogie i niebiańskie wrażenie jak nazwa tych gór, które mi widniały zdaleka, a za któremi rozpościerają się Włochy. Dahin! dahin! geht unser Weg: o Vater lass uns ziehn... Jak czarodziejską siłą przeniesiony ujrzałem się myślą w białej dużej sali, gdzie na wstępie swoich pamiętnych dla mnie wykładów mówił Tarnowski o drodze przez Splügen do Rzymu, i o widoku co się nagle przed podróżnym otwiera, gdy minąwszy szare skały alpejskie ujrzy dolinę lombardzką zieloną i widzi w myśli te kraje, gdzie się wznosi ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ kopuła św. Piotra i dym Wezuwiusza... Wszystkie dziecinne sny o Wenecyi, o jej księżycowych nocach, gondolach sunących pod koronkowemi ścianami pałaców, skąd bije światło

jaskrawe i dolatuje śpiew, wszystkie marzenia o jeziorach z nabijaną światłem drogą, toskańskie krajobrazy Umilty, Tycyanowskie kobiety o śnieżnej cerze, wszystkie klassycyzmu świątynie i wielkości — wszystko to zbiegło mi w oczy łzami a na usta dźwiękiem, dźwiękiem który tylko Goethe mógł na swojej znaleźć lutni, on co płakał za Włochami, piękno ubóstwiał i kochał, a był czujący, głęboki, i rozumny jak Grek, pogodny jak bóg grecki.... Na sine góry patrząc, do których tak daleko, powtarzałem sobie jego piosenki strofę pierwszą:

Kennst du das Land, wo die Citronen blühn?
In dunkeln Laub die gold Orangen glühn?
Ein sanfter Wind vom blauen Himmel weht?
Die Myrte still und hoch der Lorbeer steht?
Kennst du es wohl?

× ×
×

Tęsknota za Pięknem nie jest marą, ani chorobą ludzkiej duszy. Nie wierzę w nią p. Topolnicki i

nie jeden, któremu kalokagatia nie zawróciła głowy. W praktycznych naszych czasach przerachowała się ludzkości część wielka i wołając „Dobro! Prawda!" zapomniała o trzeciej siostrze: Piękności... Ona się nie mści jak ludzie, zbliżając się by ukłuć lub ranić, wystarczy jej ustąpić, zostaje samotnicą i kształty swe przysłoni. Dławią się też ludzie chlebem twardym pożyteczności nie znając boskich urojeń, któremi żył Grek pod Akropolą, a po nim nie tak pełną piersią jak on ani tak czysto oddychały pokolenia Augusta i chrześcijańskich ludów tłumy przybyłe ze wschodu i Zachodu po różnych twarzach i różnych usposobieniach.... Co z tego wyniknie? czy leży w tem dobro ludzkości? tego pewności, co tępią zachwyt piękności, nie ujrzą, ale będą może oskarżały dzisiejszych niewinne ich wnuki, aż znowu wyjdzie z chaosu piękność, Venus z piany. – Śród marzeń o Włoszech i o piękności dojechaliśmy do Monachium

x x

x

Pociąg okrąża miasto: widzi się je zatem dość dobrze, zanim się ~~je~~ ~~[illegible]~~ wyjedzie... Sterczą z niego czerwone stare wieże, zza wzgórza porosłego modrzewiem widać ~~[illegible]~~ marmurowy jakiś gmach w doryckim stylu i rękę olbrzymiego posągu Bawaryi, trzymającą wieniec... Nakoniec staje się prawie w środku samego ~~[illegible]~~ miasta, w dużym dworcu „Centralbahnhof", skąd ~~się~~ jednokonne dorożki powożone ~~z~~ przez woźniców ~~[illegible]~~ w błękitnych srebrem galonowanych mundurach i ~~[illegible]~~ świecących cylindrach, ciągnione przez dobre konie ~~[illegible]~~ z klapami na uszach, rozwożą podróżnych. Myśmy się udali do hotelu Bayerischer Hof, gdzieśmy z powodu wielkiego napływu gości (był między nimi i MacMahon) dostali 2 pokoiki na trzeciem piętrze z widokiem na kominy i dachy. Rozumie się samo przez się, że w tak artystycznem mieście okna na schodach hotelu nie mogły być inne jak malowane ~~[illegible]~~ i to zapełnione mitologią.

~~[illegible]~~ Na jednem z nich była Flora, skąd się oczywiście bez wspomnień panny Skalnikówny nie

obeszło. — Roztasowaliśmy się bardzo szybko i pobiegliśmy na gromadzącą wówczas w swoich salach wędrowców z całego świata międzynarodową wystawę sztuki.

(Skończone d. 13. Czerwca 1882 r.).

114

Osobiste

wspomnienia z Polski

To ________________________

$r - \beta$

$P = 2\pi r \cdot H$

D. 14 Marca 1879.

Trzeci zatem rozpoczynam zeszyt. Czy go skończę? A czy będzie, co pisać? Czy będzie on opowiadał o spokojnych dniach, jak dni co w pierwszym ~~dzienniku~~ kajecie zostawiły po sobie ślad, czy też przyjdzie zapisywać chwile bardziej znaczące i smutniejsze?

Wczoraj nie byłem pytany z niczego. Ponieważ zakochany Kulczyński zachorował ze zbytniego latania do oblubienicy ~~jeg~~ swej, panny Estraicherównej, zastępował go przeto pijany Klęsk i wykładał nam w gabinecie smalone duby. Czwarty raz z rzędu dawano wczoraj „Noc świętojańską" i teatr był pełny.

Dziś także nic się niezwykłego nie stało. Chyba to, że jestem w humorze wybornym. Czy to nie znak, że ktoś o mnie myśli? –

Biliśmy się dziś ze Stasiem na floretу w obecności Iustanowskiego, który nie przestaje pojmować głęboko

ważności swego sekundanckiego <u>métier</u>. –

Dziwna rzecz, żem zaczął pisać dziennik nazajutrz po poznaniu panny Maryi, a jednak myślałem o niej wtedy tyle, co dziś o wybuchach wulkanów na satellicie Jowisza. – Dziś niema co pisać – oddalona nie myśli pewno nigdy o mnie, a ja myślę jednostajnie zawsze i bez zmiany.

Byłem u Kazimierza Morawskiego z korrektą artykułu, który się w kwietniowym „Przeglądzie" ukaże.

D. 16 Marca 1879. 10-ta rano

Przyszło nam wczoraj na myśl założyć w klassie pamiętnikowy miesięcznik, w którym byśmy przepisywali prace nasze historyczne i litterackie. – Zostałem obrany jednogłośnie prawie redaktorem. –

Lutek Mycielski przyjechał pozawczoraj do Krakowa. Byłem wczoraj u niego 2 razy, za trzecim go dopiero razem ~~spotkałem~~ zastałem. Przywiózł mi z domu „flotę", którą powitałem z nie mniejszą pewno od Antonia, kupca weneckiego, radością. – Śniła mi się dziś panna Marya. Pytano się jej o zdanie o Stasiu, Tolu i mnie; Sen – mara, Bóg – wiara. –

D. 4/4 79.

Przepisuję tu kilka wierszy nabazgranych w różnych epokach.

„Opis pożaru" Zadanie szkolne z d. 21 Marca.

(Tekst do poprawienia).

Z okna w chałupce, wśród nocnej ciszy
Płomienie buchną, dym idzie w górę...
Pies zawył z cicha – nikt go nie słyszy,
Niebo się tylko patrzy ponure,
Patrzy gwiazdami, co ~~z~~ ~~przez~~ za zasłonę
Chmur się przedarły.
Wiatr głośno szumi
I pędzi w górę płomień szalony.

Śpią wszyscy w domu. Kto ogień stłumi?
Kto przyjdzie śpiącym podać ratunku?
Czyż mają w ogniu zginąć ci ludzie?

~~Straciłem życia siły i młodo~~

~~Śpiewacy dni dzisiejszych, samotni śpiewacy~~

~~Z pieśnią, któr~~

D. 15/I 1880. Czwartek.

Kochany pan Trybulski darował mi kajet. Będę miał na czem pisać – po śniadaniu.

Wyjechałem dziś na półgodziny na dwór według polecenia Kaczkowskiego, który tu był wczoraj i powiedział, że mogę jeszcze długo siedzieć w Woli, nim się mój kaszel skończy. Babunia towarzyszyła mi w tej podróży do lasu Jeruzalskiego. Jechaliśmy „budą". Okno z jednej strony otwarte wpuszczało trochę powietrza, potrzebnego bardzo bolącej mej głowie. – Pisałem rano do Józia i do Zathcya, ale okazya odeszła nie wziąwszy mych listów. Zabierze je jednak wuj Mieczysław, który dziś wraca na bal do Warszawy. Stoczyłem mały bój o Melunię i słuchałem spokojnie

kanonady, wymierzonej przeciw Józiowi. Bronić go nie ma powodu. Najprzód milczenie moje dowodzi, że pociski nie ranią, a potem mam zanadto wysokie o nim wyobrażenie, aby nie poszedł tam, gdzie każe powołanie. Były także granaty skierowane do mnie, te chybiły zupełnie. Ale o tem szerzej inną razą.

Czytałem Meluni w obecności obu matek i Babuni „Dziady". Nie znała ich i unosiła się nad „Szwajcaryą" Słowackiego. Powiedziałem jej, że jej pokażę poemat miłości tak potężny, tak owładający duszę, że znając go nie chce się o „Szwajcaryi" słyszeć. Przeczytałem jednego dnia pierwszą i drugą część i przystąpiłem do czwartej dnia następnego. Co to za rozkosz czytać taki chwytający za serce poemat osobie młodej, pięknej, kochającej piękno duszy, wielkiemu sercu, wzniosłemu umysłowi. Czytałem tak jak się czyta samemu sobie tylko, wkładając w każde słowo sto myśli

i znaczeń. Nie śledziłem na jej twarzy wzruszenia. Wiedziałem, że wszystko zrozumie i oceni. Tego samego dnia zacząłem część ~~czwartą~~ trzecią. Przeczytaliśmy prolog, pierwszą scenę - w więzieniu i improwizacyę. Podczas opowiadania Sobolewskiego łzy mi stanęły w oczach. Ucieszyły mię one: były dowodem, że ~~się~~ nie zupełnie jestem z uczucia wyzuty. Improwizacyę przedeklamowałem z zapałem i gorącem. Ciemno [illegible] było, gdym skończył i czytać nie mogłem już dalej.

Deklamowałem ~~jej~~ Meluni nadto wiele najrozmaitszych wierszy. ~~P~~ Asnyk zasłużył sobie na jej szczególne względy, kazała mi przepisać sobie „dzieje piosenki" i wiersz: „Między nami nic nie było"..... - Oprócz „Dziadów" czytaliśmy razem piękną powieść Feuilleta: „Le Roman d'un jeune pauvre." Ja tylko kilkanaście pierwszych stronnic przeczytałem, potem zakazał mi tego Kaczkowski i Melunia objęła obowiązki lektora. Przypomina bardzo rodzajem

intonacyi - Józia, a deklamuje bardzo dobrze ~~Pamię~~ Dźwięczy mi dotąd w uchu jéj czysta, pełna wdzięku deklamacya „dziejów piosenki." Obiecałem jéj, że jak ją za przyszłym razem zobaczę, będę umiał mnóstwo wierszy Asnyka na pamięć.

× ×

×

Kiedy myślę o przyszłości naszéj widzę Melunię w białéj sukni i szerokim słomianym kapeluszu pielęgnującą w piękny czerwcowy poranek białe szlabowe róże przed dworkiem na Litwie. Między kilkorgiem dzieci bawiących się na trawniku jest dziewczynka różowa i biała, jasno-złota blondynka z oczu i uśmiechu podobna do matki. Mąż Meluni to piękny, wysoki brunet, człowiek z sercem i głową. Ma wszystko, czego chce przyjaciółka moja, ma otoczenie serc ciepłych i szerokie pole do działania. Wszystko, każden poryw szlachetnego serca, każden czyn piękny, każde słowo, każda drobnostka,

cechująca delikatność idealnej kobiety, wszystko to będzie ocenione i uznane. Niczego jej brakować nie będzie, nie zazna nigdy tęsknoty... Oby był takim los Meluni!

O dziesiątek mil od niej – rezydencya Józia. Pomimo życzliwych rad i najskuteczniejszych recept jest on tem, na co go Pan Bóg stworzył. – Siedzi na wsi i gospodaruje. Niema ambicyi, jak Jan z Czarnolasu. Jest poetą nie takiego rozgłosu, co uczucia. Wobec dzisiejszej niechęci do poezyi, „śpiewa sobie a Muzom", „śpiewa sam w sobie, śpiewa samemu sobie." Ożenił się z Litwinką, idąc za wolą serca i dziękuje Bogu, że nikogo o radę w tym względzie nie prosił. Poluje dużo i troszeczkę zapleśniał w głębi Litwy, ale mu z tem dobrze i wesoło.

Co ze mną będzie wtedy nie wiem. Najprawdopodobniejsze to, że mi wywietrzały z głowy zachcianki literackie i osiadłem na roli. Mam jednak to do siebie, że nienawidzę w takich rzeczach średniej, niby to pojednawczej drogi. Książki – albo kartofle. Skończywszy

wydział prawny, na który poszedłem dla świętego spokoju, chodzę za pługiem w Królestwie. Może wniosę z sobą do tej wioski tyle godności osobistej, że będę się starał postępować tam jak na zacnego człowieka przystało, a może, wtedy niech odpowiada za to, kto inny, może zostanę szlachcicem jak wszyscy z parą wielkich wąsów i fajką na długim cybuchu.—

Mniejsza o mnie. Świat nic na tem nie straci, ani nie zyska, czy pójdę na prawo lub na lewo. Ale Józio musi pójść za powołaniem swojem, ale oby Meluni dobrze było i błogo, bo zasłużyła na to.

D. 16/I 1880.

„Romans ubogiego młodzieńca" jest dziełem wielkiego rozgłosu. ~~[illegible]~~ Ma chwile niesłychanego efektu, ale wiele ustępów nie posiada nic prócz ~~w~~ oryginalnego, iskrzącego stylu. Postać bohatera występuje nie dość silnie, znamy go tylko powierzchownie, znamy jego usposobienia, gusta, ale do wnętrza duszy nie docho-

dzimy. Wyobrażam sobie arystokratyczną twarzy pana Maksyma, daleko ~~się~~ lepiej niż myśl, co tę twarz ożywia. – Pannę Małgorzata przeciwnie nie stoi tak wyraźnie przedemną, ale na widok tej lub owej rzeczy pomyśleć sobie mogę: „Panna Laroque powiedziałaby ~~to~~ to lub owo ~~o~~ tym przedmiocie." Prawda, że w powieści pisanej w kształcie dziennika trudno, aby bohater dziennik piszący ~~[illegible]~~ był bardzo silnymi rysami nakreślony, bo ion nie może ciągle o sobie mówić, ~~a~~ i od nikogo o nim dowiedzieć się nic nie można. Prawda, ale Werther? Czy Werthera po kilku stronnicach nie znamy do głębi, czy w duszy jego jest dla mnie coś niejasnego lub chwiejnego? –

Inne postacie, mniejszą rolę mające nie ~~muszą~~ potrzebują oczywiście tak ~~[illegible]~~ nam odsłaniać „tajni, zamkniętych w uczuciach", wystarczy, jeżeli obok moralnego obrazu kilku postaci głównych, ~~mają~~ tworzą obraz fizyczny, niby tło. Dosyć, jeżeli mają

odrębną fizyognomią nie tak wyraźną jednak, aby zmniejszały wrażenie osób głównych. Bardzo to wielkie szczęście, jeżeli tym koniecznym dodatkom da autor trochę życia i oryginalności, a umie nad niemi jednak taki zmrok rozpuścić, że nie ~~tymo~~ ~~zar~~ przeszkadzają bohaterom w rozwoju i okazaniu wszystkich stron charakteru. ~~To jest~~ Zdaje się że właśnie tajemnicą talentu ~~jest~~ umiejętne użycie światła, cofnięcie drobnostek w głąb obrazu, a wydobycie na jaw ważniejszych postaci. – Tę sztukę zna Feuillet. W każdym dzienniku musi być dużo gadaniny i małych wypadków, w każdem otoczeniu dużo figur i figurek. A te typy i postacie, te wypadki stanowią u niego tylko tło, tło bardzo ożywione i barwne. Mademoiselle de Porhoet-Gaël ze swoją katedrą i śmiercią /której opis pełen prawdy i idealizmu zarazem, godzien jest pióra Szyllera/, Pani Laroque, grzejąca sobie ręce

przy piecyku, ojciec, matka i siostra Maksyma, pan Laubépin wraz z połowicą, stary Alain, pani Aubry, pani generałowa, nawet zawzięta na świat nauczycielka, panna Helouin, nawet nieco niej zrozumiały pan de Bevallent, jakoś to wszystko wyraziste, żywe, choć w słabem półcieniu zanurzone, postacie. Natura żywa, czy martwa, która jeszcze więcej we mgle kryć się powinna występuje rzadko, ale zawsze ładnie. Feuillet umie w każden opis natury tchnąć niesłychaną, ożywiającą świeżość i prawdę. W opisie porannej wycieczki łódką do wodospadu jest jakaś woń kwiatów wodnych i drzew nadbrzeżnych, jakgdyby orzeźwiający chłód błyszczącej rosy. Noc w głębi lasu pełna księżycowego blasku, spadającego kaskadą z gałęzi buków i pełzającego po ziemi zasłanej suchym liściem. Albo opis wnętrza wieży. Ta ciemność, w której ścian zamczyska rozpoznać nie można, to okna wązkie w grubym wyciosane murze i ta

przez nie płynąca spokojna, pogodna struga światła, opromieniająca trochę piękny profil Małgorzaty — wszystko to widzę. Jest w tem prawda — i czegóż więcej żądać.[2]

Porównywać „miłość ubogiego młodzieńca" z innemi rzeczami Feuilleta — nie można. Z tych, które znam (t. j. Une Fée, L'Urne, Le Village, Le cheveu blanc, l'Ermitage, Dwa światy*, Montjoye, Dalila.) ~~nie~~ żaden utwór wielkiego pisarza niema nic z przeczytaną niedawno powieścią wspólnego. Biorąc najogólniej „Une Fée", „Le Cheveu Blanc" i „Montjoye" dają obraz powrotu na dobrą drogę ludzi, których nad brzeg przepaści zawiodło złe życie, brak delikatności sumienia lub kompletne tegoż ~~wyparcie~~ zaparcie się. „L'Urne" i „le Village", ~~[illegible]~~ „l'Ermitage" są to utwory małej doniosłości moralnej, obrazki. „Dwa światy" jest niby-dramatem w 8 ~~odsłonach~~ odsłonach bez wartości. Złepek kombinacyi i świat idealny, daleki od rzeczywistego nie może dać ~~[illegible]~~ prawdziwego piękna

„Dalila" unoszący chwilowo, blednący po namyśle utwór ma wielkie zalety, ma oryginalne i piękne postacie. W Warszawie, gdzie teraz Królikowski gra Czarnieckiego, Modrzejewska – Księżnę Falconieri i Rapacki – Sertoriusa musi ogromne robić wrażenie. Bądź co bądź „Montjoye" jest najpiękniejszem, ze znanych mi, dzieł Feuilleta, prawdziwym dramatem, pełnym życia, dramatem w sercach, wyjętym ze stosunków obecnych, a przejmującym, moralnym i szczytnym, jak mało sztuk, schodzących na deski teatru.

× ×

×

Kiedy się już tak rozpisałem o „Miłości ubogiego młodzieńca" dodam jeszcze uwagę, która mi się nasuwa. Może kto zarzucić, że za wiele jest przy końcu nadzwyczajności, że powieść mogłaby się doskonale rozwinąć i zakończyć bez kilku zdarzeń niezwykłych. Panna de Porhoët-Gaël przez całe życie myśli o spadku, który się jej zdaje się

prawnie należeć, chociaż dowodów na to nie posiada. Sprawa prawie już przegrana, dziedziczne posiadłości w Hiszpanii nie dostaną się staruszce. ~~Wsz~~ Biedaczka marzy jednak ciągle i zamierza wybudować katedrę, któreby gasnące ~~na~~ niej imię Porhoet-Gaël'ów wsławiło. Otóż nagle w chwili, kiedy Maxymowi ~~konieczny~~ koniecznym jest dorzeczczieś znaczny majątek, odkrywa się dokument utwierdzający starą jego przyjaciółkę w posiadaniu fortuny przodków. Posiadłości te przestają być dla panny de Porhoet-Gael tem, czem dotąd były, a co Francuzi zową: „des chateaux en Espagne", ~~mają się~~ stają się bogatymi zamkami w Hiszpanii. Właścicielka umiera ~~za~~ parę dni po odkryciu aktu – z radości, służącego jednak przedtem jeszcze do Paryża, po Maksyma wysyła. Ten go szczęśliwie spotyka, przywozi – staruszka umiera, o katedrze nie myśli, oddaje „ubogiemu młodzieńcowi" majątek.

Nie dosyć na tem. Maksym, po śmierci ojca, nie mając grosza majątku zostaje administratorem ~~[illegible]~~

dóbr u pani Laroque, matki jego przysztej żony, panny Małgorzaty, w głębi Bretanii. Otóż przez zbieg różnych okoliczności dochodzi do tego, że Maksymowi dają do przejrzenia papiery teścia pani Laroque, starego żeglarza, a dziada panny Małgorzaty. W archiwum tem znajduje się dowód, że majątek, którym Maksym zarządza jemu się z prawa należy. Szlachetny młodzieniec drze akt ten i nigdy o nim nie wspomina, aby nie obrazić czystego sumienia dwóch kobiet, pani Laroque, którą poważa i jej córki, którą kocha.

Takie rzadkie wypadki, zdaje mi się, nie powinny razić w powieści. W dramacie, byłyby błędem. Ze wszystkich rodzajów poezyi, dramatyczna jest najwięcej realistyczną. Epopeja powiększa i podnosi swoich bohaterów, wnętrza ich nie rozbiera, nakreśla tylko ogólne rysy charakteru. W oczach lirycznego poety wszystko przybiera czyste harmonijne barwy Rafaelowskiego peizażu

„Mgły jego fantazyi" jak ~~je~~ to nazywa Siemieński powiększają przedmioty, nadają harmonią całości i lśnią się niknąc pod promieniami słońca. W dramacie życie być powinno, tem, czem jest, poeta dramatyczny nie może bujać po przestworach idealnej krainy, musi nam przedstawiać ludzi z całą ich nikczemnością, śmiesznością, z całą ohydą namiętności i jeżeli się zabłąka do jaskini lwów anioł stróż olśniewajcey blaskiem, to i on także musi mieć ludzką postać i ~~....~~ naturę do ludzkiej zbliżoną. – Ażeby się przekonać np. o różnicy traktowania przedmiotu w epopei i dramacie dosyć porównać „Iliadę" z „Troilusem i Kressydą" Szekspira. Jak tam Achilles, Agamemnon, Ajaks, Menelaus, Nestor poschodzili z piedestałów na które ich podniósł hegzametr Homera, jak oni stali się z półbogów – ludźmi, z bohaterów – śmiesznymi nieraz pachołkami swych namiętności.

Dramat jest nawskróś realistyczną poezyą. i

oprócz ukazywania się duchów, które uprawnia tradycya Aischylosa i Szekspira, na nadzwyczajności niechętnie spogląda. – „Les coups de théâtre" te teatralne pioruny, uderzające zawsze w każdą Balladynę, kiedy nie wie co powiedzieć (a nie usprawiedliwione jak w tragedyi Słowackiego kolorytem ludowym powieści) są zawsze wstrętne i dla wrażenia zabójcze. W powieści, w epicznym poemacie uchodzą dziwne zdarzenia i nawet cuda, bezpośrednie dzieła ręki wyższej (Homer, Enejda, Jerozolima wyzwolona). W dramacie motywem wszystkiego powinni być ludzie; dla tego w ~~dramaty~~ scenicznem przerobieniu musi słabiej wyglądać „Miłość ubogiego młodzieńca" i nadzwyczajności, miłe urozmaicające powieść, pewno rażą w sztuce.

D. 17/I 1870.

Meluni.

Kiedy Ci chcę za wszystko, droga, zanieść dzięki
Smucę się, że nie mogę innym, wyższym sprostać,
Że w Twej pamięci lichą zostanie ma postać,
Bo czyż Ty masz choć mały fiołek z mojej ręki?

Żrące to są powolne i surowe męki
Kiedy, pragnąć w pamięci Twej chwilkę pozostać
Strun dobieram i nuty nie ~~mogę~~ umiem wydostać,
I nie mogę Ci zanieść _ ach nawet piosenki

Ach, nic niemam, prócz kwiatów miłości ku Tobie
Żyjących w dni burzliwe i w nocy miesięczne
Prócz tęsknoty za ~~[illegible]~~ Pięknem i serca w żałobie,
Że tak przy Twojem niskie, martwe i niewdzięczne

I prócz myśli, co cierpi i smuci się w sobie,
Że niema się czem użyć – bo piosnki niedźwięczne

D. 19/I 1880.

Leżałem wczoraj w łóżku i pisać dziennika z powodu ciągłych u mnie wizyt nie mogłem. Dziś leżę także, ale korzystam z chwili kompletnej ciszy i samotności.

× ×

×.

A było to w dzień wilii roku 1879. Opowiadanie moje zacznę od godziny 9½ rano, opis wschodu słońca i tym podobnych perypecyj zostawiając napotem. Otóż tedy pan Adam Krasiński (było to w sam dzień jego imienin) przyjechał z rana na polowanie, chcąc w dzień Wilii szczęścia spróbować. – Para koni w sankach

czekała przed domem. Kaszel mój obudzał pewne wątpliwości co do mego udziału w łowach, ale proto-medyk-golibroda pozwolił mi na takowe się udać i zapewnieniem o pomyślności mego zdrowiostanu gordyjski węzeł wątpliwości przeciął. Usiedliśmy tedy do sanek: pan Adam, Wuj Mieczysław, Walunio, Niunio i ja i podążyliśmy w stronę Nowińskiego lasu. Mgła była — jechaliśmy ~~z~~ pod bliską osłoną jej skrzydeł, aż się z niej nagle zaczął wyłaniać czarny las sosnowy. Rzekłbyś, że przypływamy do skalistych brzegów Szkocyi, po której chodzą szarawe tumany mgły i chwiejne obłoki. Pole śniegowe było niby morzem, co powolnie, wiecznie ogromnymi jęzory liże granitowe skały. ~~Las~~ Równe wzrostem wysokie drzewa lasu stanowiły nie wyniosły, stromy, brzeg, co się przez wieki kruszył, tracił ~~wyniosłe~~ szczyty, staczające się w dno ~~z~~ pożerczego morza i teraz niskim twardym, czarnym stoi murem.

Niby do groty zalanéj morzem, do groty Fingala np., wjechaliśmy do lasu. Tam pod sosną, na której wisi obrazek

Matki Boskiej zastaliśmy Tuszyńskiego i starego Sałajczyka na jednokonnych saneczkach. Po nabiciu broni rozstawiliśmy się po Nowińskiej drodze, naganka zaszła od dróżyny wiodącej do Huty Partackiej. Sałajczyk, który był moim nieodstępnym towarzyszem przez całe polowanie stał po prawej stronie odemnie, pan Adam po lewej. Cicho było zupełnie, czasem tylko trzasnęła gałązka i śnieg spadał z sosny na ziemię. Wybrałem sobie w arsenale starą z Napoleońskich czasów pojedynkę, niby karabinek, odpowiadający memu ideałowi Horeszkowskiej jednorurki. Oczekiwałem niedźwiedzia, ale go nie było w mateczniku. Trzy strzały padły, a kiedyśmy po skończeniu naganki dobiegli z Sałajczykiem do sani, wkładano w nie dwa szaraki, których farba zaczerwieniła śnieg. Jeden padł z ręki pana Adama, drugiemu zadał śmierć Niunio; gdy jednak nie skoziołkował się na miejscu, strzelec biegł za nim (mówią, że z kordelasem na dziki), ale go twój Mieczyś do porządku przywołał.

Otrzymawszy tedy od Wuja stosowną reprymandę, potwierdzoną taką powagą myśliwską jak pan Adam, wsiadł Niunio na sanki i ruszyliśmy dalej. Wypogadzało się, mróz brał. Zza przezroczystej gazy obłoków wyglądało rozkoszne tło nieba, z promienistą złotą kulą słońca. Stanęliśmy na tak zwanej niegdyś „zielonej drodze", prowadzącej z Cegielni do Nowin. Dziś biała była, ale nie mniej ładna ta ulubiona pana Łagowskiego dróżyna. Śnieg się zaczynał iskrzyć, niebo się przecierało. Postawiono mię na granicy lasu i pola, „przy smolarnym dole." Nadziei zwierzyny nie było, ale widok prześliczny. Potem założono jeszcze kilka razy w tej stronie lasu, stanęliśmy na linii, gdzie Józio niecnie zabił kozę i wyjechaliśmy w okolice szkółki leśnej. Krzyki naganki ozwały się od strony lasu, myśmy się uszykowali na linii, przecinającej zagajnik i będącej przedłużeniem granicy właściwego Nowińskiego lasu. Przy tym to lesie stałem, w pobliżu starych pochylonych słupów, co niegdyś

nosiły tablice z numerem leśnego rewiru. Słońce patrzało mi w oczy i olśniewało zupełnie, oświecając grubą warstwę okiści na gałązkach zwieszonej. Wtem Sałajczyk wrzasnął z prawej strony: „Panie Konstanty!" - Spojrzałem, aliści szarak przebiega linią i leci jak szalony do mnie. „Wygarnąłem* do niego", jak mówią starzy łgarze, o jakie dziesięć kroków i o hańbo, o, zgrozo! poszedł dalej w krzaki. Przetarłem oczy, ale zająca nie było. Utrzymywałem jednak i dotąd utrzymuję, że musiał oddać ducha w tych krzakach, bo jakem do niego wystrzelił, usiadł, a nie wierzę, żeby się chciał ze mnie najgrawać. Sałajczykowie jednak, ojciec i syn, mówili, że szkoda fatygi gonić go po śniegu.

Iznów naganek parę nastąpiło. Oprócz wstydu, który mię mordował, czułem ~~okropne~~ oznaki zabójczego głodu. Zapewniano nas wprawdzie przy wyjeździe, że panna Luiza z Melunią przywiozą nam śniadanie, ale wiwandierek naszych nie było. Raz

coś podobnego do ich wołania odbiło się o nasze
uszy, ~~ale~~ odpowiedzieliśmy im na to dźwiękiem
rogu. Głos poszedł w las i zginął. Pojecha-
liśmy dalej. Naganka szła od pól Wólki
Jeruzalskiej. Piaszczyste przestrzenie porosłe tylko
karłowatą sosną, samorodną, bo właścicielom nie
przyszło na myśl zasadzić tam lasu, wyglądały
~~p~~ w zimowym stroju tak pięknie i uroczo, jak
nudnemi i smutnemi są w lecie. ~~A~~ Stałem na gra-
nicy lasu, w kępie choinek. Schroniłem się pod
baldachim gałązek osypanych cukrem lśnią-
cego śniegu. Pole przedemną leżało wielkie,
białe, nie poorane nogą ludzi lub koni,
ledwo dotkniete pałeczkowatemi łapkami za-
jaca. Nademną niebo przechodzace w szafir,
przy mnie zielone gałęzie z białą i złotą
ozdobą śniegu, lodu, okiści. Dokoła śnieg miękki
i najcudowniejsza gra dwóch kolorów. Gdzie słońce-

na futerku Angorzy miękkiem, jedwabistem złoty proszek i najpiękniejsze dyamenty. Gdzie nie dobiegły promienie – siny, ciemny, błękitnawy cień.

Zając wyszedł, stanął w takim cieniu, usiadł i pobiegł dalej, zwolna, wyrzucając swawolnie tylnemi nogami. Drugi sunął po ziemi, szybko i tulił się do pola, jakby się spodziewał, że przejdzie niepostrzeżony, jakby nie śmiał podnieść wzroku, aby nie zobaczyć strzelca. Palnąłem z jednorurki. O, gdyby druga rura, pewnie by leżał, a tak – poszedł!

Kilka strzałów ozwało się z boku i zbiegliśmy się do kupy. Niunio trzymał zająca w ręku, pan Adam drugiego, Sałajczyk pono – trzeciego na sanki t nakładał. Walunio zabrał się z Niuniem pojechali do domu, zupełnie z łowów i krwi przelewu syci, a pierwszy z nich niepomału kontent, że się nie zanudził i nie zmarzł.

Myśmy zostali z nadzieją zwierzyny i z głodem. Damom naszym, ani się śniło widocznie o ~~nas~~ smutnym stanie zgłodniałych myśliwych, którzy je kleli na czem świat stoi. Stangret, co odwiózł Niunia i Halunia przyniósł nam wreszcie butelkę słodkiej wódki. O czemś więcej nie pomyślał. Musieliśmy poprzestać na czarce pomarańczówki i kawałku chleba, któryśmy furmanowi zabrali.

Ostatnia naganka była za Pękoszewem. W środku wysokiego lasu jest miejsce krzakami, wikliną i brzózkami porosłe. Wśród tych zarośli zabłąkało się nasienie sosny lub żołędź dębowa i piękne z nich wyrosły już drzewka. Śnieg i szron obciążyły gałęzie w tym gaiku i nadały mu ~~pozór~~ kształty zbliżone do ~~łas~~ gęstego, nieprzebytego, dziewiczego lasu podzwrotnikowej okolicy. Za tło do tego ładnego widoku

służyły sosny lasu i brzozy wyniosłe, których najwyższe gałązki błyszczały barwą złota, pomarańczy, róż, ~~nie~~ pożyczoną od słońca w zachodzie. Ścieżka szła obok tego pięknego gaju, na ścieżce stanęli myśliwi. Niedaleko odemnie na wzgórku ~~był~~ obserwował gestwinę Sałajczyk. Szlachetne rysy twarzy i okazała postawa starego wieśniaka odbijały od ciemnych pni boru. Sałajczyk zabił zająca i słońce zagasło za lasem, szczyty brzóz zbielały, posiniały, zstępował na ziemię wieczór. Ruszyliśmy do domu, wiozac 13 zajęcy.

D. 20/I 1880.

Już dwudziesty! Za jaki tydzień rozdadzą w Krakowie świadectwa, a ja tu siedzę w szlafroku i piszę dziennik i nic nie robię. Kaszel się nie zmniejsza. Chorowałem wczoraj w nocy i nie dałem spać Mamie

Ciekawy jestem, jaką będę miał lokacyę, przypuszczam, że drugą, może trzecią nawet, bo ostatni miesiąc, najważniejszy w półroczu, tracę. Mniejsza o to!...

x x

x

W dzień kucyi wieczorem, gdy wszyscy do stołu zasiędą, schodzi na ośnieżony dach domu gwiazda jasna jak dzień i spływające obficie, mleczne rozsiewa promyki. Jestto rzadko na ziemi zabłąkana gwiazdka pokoju, młodsza siostra betleemskiej przewodniczki, nie otrząśnięta jeszcze z anielskiego śpiewania. Przynosi ona niewymowną, cichą radość, tem milszą i cudowniejszą, że się jéj żadne serce oprzeć nie potrafi, że [redacted] przejmuje wszystkie, grzeje wszystkie, a nikt o niéj nie mówi [redacted] i słowami nie ziębi [redacted], ale ją wszyscy [redacted] czują i chowają w piersi. Pod promieniami niebieskiego światełka, otaczającymi dachek srebrną siecią, tworzy się atmosfera spokoju, zdaje się, że

świat cały opuścił stare łożysko i zbiegł się pomiędzy ~~[illegible]~~ cztery ściany domu. Ciszę uroczystą przerywa tylko gwar rozmowy przyjaznej, która tej ciszy nie mąci, ale ją urozmaica i nastraja, albo kolenda śpiewana chórem, cudowna pieśń: „Bóg się rodzi, moc truchleje"... a dalej: „Podnieś rękę Boże dziecię, błogosław Ojczyznę miłą", albo nareszcie wesoł~~[illegible]~~ wrzawa dzieci, którym się marzy o drzewku i orzechach. Ta gwiazda, chociaż blado, świeciła nam w Woli. Pan Adam, Pani Adamowa, Edzio Krasiński i proboszcz z Jeruzala byli gośćmi na Wilii. Na stole pod obrazem było sporo siana, Melunia przypomniała sobie o czterech snopkach słomy w rogach pokoju. Już nie pamiętam, jakeśmy siedli do stołu, po długiem łamaniu się opłatkiem. Nastał teraz dyskretny i zastosowany do potrzeb czasu obyczaj, że się nic sobie nie mówi i nie życzy podczas tego obrzędu. Może ta moda jest tem spowodowana, że ludzie nie wiedzą,

co sobie powiedzieć, a może tem, że gdybyśmy zaczęli życzyć bliźnim tego, czego życzymy sobie, nie rozlegał by się po pokoju jeden krzyk tylko: „pieniędzy!" – Co do mnie korzystałem z ł nowego obyczaju. Wierzę, że ci, których kocham, nie wątpię o serdeczności mych życzeń, a do innych słodkich słów mówić nie warto. Otóż niczego nie życzyłem Meluni. Usiadłem między proboszczem, a Hagerem. Prawie naprzeciwko mnie była Melunia obok matki. „Co teraz robi Józio?" I u mnie i u mej sąsiadki z przeciwnej strony stołu pewnie, to pytanie było tłem rozmyślania. Jakeśmy się z listów dowiedzieli potem siedział przy obiedzie z poczciwym Tomaszem Potockim i wystawiał sobie, że jest „w Polsce, między swymi" – przy wilii, pod promieniami dobroczynnej gwiazdki. A potem, kiedy odeszedł kolega, śpiewał z pamięci pieśni kantyczkowe, jak przez tyle lat przy fortepianie w Woli „i tym razem" pisał, wszystkie mi się wydały równie ładne."

A myśmy rozmawiali przy stole. Zacząłem z Trybulskim ~~rozm~~ dyskurs o wszystkich rzeczach i niektórych innych i wpadłem na opisy podróży do Monachium. Ztąd rozprawa o sztuce, do której przyłączyła się ciocia Wanda a niebawem, jak nas było przeszło dwadzieścia osób przy stole, wszyscy zaczeli brać udział w sporze. Chodziło o to, czy sztuka jest wyższa i piękniejsza od przyrody, czy większą rozkosz mamy w zetknięciu z poematem, obrazem, rzeźbą, czy też na widok krajobrazu lub pięknej osoby. Broniło wyższości sztuki trzej szermierzy: Papa, p. Trybulski i ja. Ciocia Wanda mówiła, że dzieło ludzkie nie może przewyższyć dzieła boskiego. Babunia i większa część towarzystwa utrzymywała, że zadaniem sztuki jest tylko utrwalić i oddać wiernie piękno natury. Myśmy mówili, że sztuka jest jednak do czegoś wyższego stworzona, jak do niewolniczego

fotografowania. Papa dowodził, że malarze włoscy tworzyli ideały „jakich na podsłonecznym nie bywało świecić", ale ~~t~~ znaleźli się tacy, którzy się oświadczyli za żywemi, nie malowanemi osobami. Podniosłem wtedy poezyę i utrzymywałem, że mi daleko większą rozkosz sprawia zachód słońca opisany w „Panu Tadeuszu" niż rzeczywisty. Zwyciężaliśmy, gdy wtem wpadł mi na myśl „Arcy-mistrz" Mickiewicza i wiersz:

„Sztukmistrzu ziemski, czem są twe wyrazy?"

Ciocia Wanda nuż dzwonić na to g kazanie i ~~[illegible]~~ nuż bić w ten tołombas. Kwestya została nierozstrzygnięta.

× ×

×

Listy z Warszawy od° Cioci Wandy do Mamy!... Józio, którego przyjazdu oczekiwałem w skrytości mego ducha, ma ból gardła i gorączkę. Ciocia od-

dając z Melunią wizyty, a dzisiaj nawet idą na operę, t. j. mylę się, nie dzisiaj, w dniu w którym list pisano. Tak więc nadziei zobaczenia Józia być nie może, a na dobitek złego wuj Zdzisław zabrał przez pomyłkę „Didaskaliadę" z sobą.

× × ×

Chwile pobytu Meluni w Woli byłyby dla mnie najmilszym do pisania tematem, gdyby się dały opisać, ująć, uchwycić. Trzebaby, aby ręka biegła tak chyżo, jak myśl i aby wyrazy sunęły tak posuwiście, aby się ta myśl w nich nie złamała, „lecąc z duszy ~~prosto~~". Kiedy ~~[illegible]~~ siedzę z założonemi rękoma i myślę, stają mi niedawne chwile „przed oczyma duszy", kiedy wezmę pióro, by je przybić do papieru, ulatują, pierzchają jak gromada ptaków.

Otóż naprzekór trwożliwym, lotnym dumaniom i wspomnieniom, piszę; opiszę np. Melunię.

Od roku wypiękniała niezmiernie. Oczy niebieskie mają całą słodycz zwykłą błękitnym, a taki blask, że czasem wydają się czarnemi. Oczy te mają całą swoją melodyę i całą skalę tonów: od najpiękniejszego gniewu, cum piorunibus, ~~od~~ do najłagodniejszej słodyczy i czarującej figlarności lub zakłopotania. Twarz regularna i piękna. Płeć tak zadziwiająco gładka, biała i rumiana, że nigdy drugiej takiej nie widziałem. Włosy złote, a uśmiech! Co w tym uśmiechu rozumu, dowcipu, uroku! Widzę, że mi słów zaczyna brakować. Daję zatem pokój opisowi, powiem tylko, że jest nie wysoka, zgrabną, dobrą tancerką, że ma ładną rękę i talią trochę za krótką, ale kształtną. Co do mnie, nie potrzebuję opisywać Amelii, dla mojej pamięci, bo ją widzę „wszak tu... o tu stoi!"... że pewnie z Gustawem.
A jeżeli kiedy nemu ministrowi spraw wewnętrznych

i tajnemu radcy w sprawach sercowych, Ziowi, da-
te notatki w rękę, to i tak nie wiele go zajmie
opis warszawskiej piękności, bo on się babskiemi rze-
czami nie zwykł parać i kocha tylko księgi
a naukę. — Przeskoczę tedy do tualet Meluni.
Przypomina mi się tu urywek rozmowy z Try-
bulskim, który przytoczyć muszę.
— Więc jakżeż pan znajduje naszą grę w „Odludkach
i poecie"? —
„ Wogóle dobrze prócz Niunia i Antosia."
— A kostiumy? Kostium Meluni? —
„ Wyglądała tak, że niejedna aktorka radaby
być do niej, panie, podobną."
— Wykapana córka oberżysty —
„ A przytem taka, panie, że, panie, każden
poeta zakochałby się w niej, panie, i nawet ...
Doskonale ..."
Rozmowa zakończyła się obustronnemi użaleniami,
że tym poetą zakochanym — był — Niunio.

Otóż, wracając do jéj tualet, najlepiéj jéj do twarzy w czarnéj kaszmirowéj tunice, naszyjnikiem złotym z wielkim ametystem i takimiż kamieniami w kolczykach. Blask tych świecideł nie śmiał rywalizować z połyskiem jéj oczu. W czarną, szczupłą ubrana sukienkę miała „powagę królowéj i niewinność dziecka" i więcéj, bo łudzące podobieństwo do któréj z idealnych polskich dziewic „Wojny" lub „Polonii" Grotgera. –

× ×

×

Przeczytałem „Katechizm Nie-rycerski" Klaczki. Znane mi dotąd jego artykuły literackie ~~jego~~ nie zachwycały mię wcale. Widziałem w nich daleko więcéj sarkazmu, zjadliwości i lekceważenia niż poważnéj krytyki. Podobnie początek „Katechizmu" wydał mi się szermierką, prowadzoną dość nisko, lada jaką bronią. Myślałem sobie, że autorowi więcéj chodzi o pole popisu z całym swym przyborem cytat i metafor niż o rzecz samą, że jest w tem jakaś zaciętość sekciarska, a bardzo

mało godności. Sarkazm i wszelkie jady pochodzą zawsze od wężów. Miłość i prawda tą bronią nie walczą, a mimowoli czytając Klaczkę, mówi sobie człowiek: „a gdyby go było życie zrobiło demagogiem, czyżby sobie tak samo nie kpił z Towarzystwa Rolniczego, jak go teraz broni? a gdyby był protestantem, czyby nie szydził z Kościoła, za który tak walczy?" Więcej rozdrażnienia nerwowego znać w autorze „Katechizmu" niż siły przekonań, które można opuścić dla bruków asfaltowych. Dalej jednak ustępowały te myśli. Klaczko wznosi się na odpowiednie sprawie ~~tower~~ stanowisko. Mówi z uczuciem, zapałem, wychodzi po za zwykłe granice zapomnienia, pogardza lichą bronią, przekonywa, zapala, porywa.

D. 21/I 1880.

Siedzę przy oknie i patrzę na śnieg, padający ogromnymi płatkami tak szybko, że ledwo parę razy może się kiść biała okręcić w tańcu, nim na ziemi osiędzie. Toteż rosną w oczach wzgórki śniegowe i ślady kroków ludzkich przyprusza zaraz delikatny puszek. Trzymam pióro w ręku i myślę o Warszawie. Zawsze z niewysłowioną radością patrzę na rzucane z nieba przez aniołów pierze, jak ~~je~~ się przed laty poetycznie wyrażał Tolo. Robi się jakoś w piersiach ciepło, jakby ten puszek osiadał na nich futerkiem i tak jakoś wesoło biegą myśli, jakby wirowym tańcem płatków białych porwane, tańcem bez końca, hucznym, swobodnym, pędzącym z góry i ustającym aż w górze. Za tym śniegiem w ślad biegnę, lecę. Józio leży teraz w Warszawie w łóżku, mam nadzieję, że mu się nic złego nie ~~ob~~ stało, Melunia pełni przy nim obowiązki siostry miło-

sierdzia i opowiada powieści wdzięczniejsze od zmyślonych historyj. Nieraz mi się śniło w nocy i na jawie, że dostaję ranę śmiertelną podczas zwycieskiej, walnéj, rozstrzygającej bitwy. „Mourir pour sa patrie, c'est le sort le plus beau, le plus digne d'envie." Tak mi się może tylko zdaje, ale nie pogardzam sobą do tego stopnia, abym nie przypuszczał, że w wielkiej godzinie nie zapomnę o wszystkiem i będę miecz ściskał. Wtedy, (takie są moje nikczemne marzenia) chciałbym poledz i ~~[illegible]~~ listkiem wawrzynu ozdobić skroń młodą, a duch mój z góry patrzałby na zatykanie białych orłów po zamkach, na entuzyazm ludu, ~~p~~ chcącego daremnie znaleść słowa godne swoich uczuć, na kościoły przepełnione wdzięcznych obywateli gromadą. Patrzałbym ~~[illegible]~~ z góry i jakby mi było i słodko i podniośle. A nie chciałbym wyzionąć ducha z głową opartą o trupa mego wierzchowca, chciałbym by mię po bitwie ~~[illegible]~~ ramiona kolegów

zamostły do bliskiego dworu. To będzie twój dom, Meluniu! Jakie to dziwne będzie przywitanie z Tobą, żołnierza „ze z czerwoną rany na piersiach oznaką. Wtenczas ty będziesz siedzieć przy mem łóżku, jak teraz siedzisz obok chorego brata. I dusza moja wyjdzie tak lekko z ciała i może Bóg ją uwolni na sądzie.

Tak można marzyć, tak nigdy nie będzie. „Nim słońce wejdzie rosa wyżrze oczy!" A może będziem widzieć przedświt i dzień biały„? Wtedy mniejsza o ~~moich~~ ~~ta~~ moje marzenia i sny cudowne, dość będzie szczęścia, aby i dla mnie trochę się zostało. Czy tylko dusza, co teraz pragnie i roi, będzie miała tyle siły woli i poświęcenia, aby się do rozjaśnienia nocy naszej przyczynić, czy nie opadnie, nie zleniwieje i zaśnie podłym snem gnuśności, czy nie powie sobie: „dobrze mi tak!", czy nie legnie w błocie, jak owa strącona z tronu, z purpury odarta królowa? Czujcie, albowiem duch jest ochotny, ale ciało mdłe.

x x

x

To marzenie, ten obraz uwojony jest najgłębszą serdecznego tajemnicą, najmilszym tematem myśli. Chciałem go nieraz uchwycić w rymy poetycznego obrazu, ale koloryt ten jasny nikł zawsze na widok wiersza. Mnóstwo mi rzeczy wiatr przewieje przez głowę, ale przejdą zawsze jak obłoki nie zostawiając na niebieskim szlaku śladów ni kolei. Serce moje jest jak niedostępna żołnierska ładownica, gdzie wiele ~~przedmio~~tów leży w nieładzie i brudzie, ale na ~~dn~~ dnie jest zawsze blaszany wielki krąg z namalowaną Matką Boską Częstochowską. To ~~jest~~ moje życzenie służenia ojczyźnie mieczem, oplecione kwitnącym bluszczykiem osobistego marzenia o ranie na polu walki i o szczęśliwych ostatnich dniach życia.–

x x

x

Życie czynne nie uśmiecha mi się, owszem zatrważa

mię i zwątpienie obudza. Może wypadnie z usposobienia i przeznaczenia zrobić poświęcenie, ale zdaje mi się, że jestem stworzony na to, aby siedząc w bibliotece odszukiwać danych do obrazu przeszłości. Nie wabią mię dzieje wielkich zdobyć i wojen, ale historya i poznanie umysłu szperacza, co przed 500 laty siedział w takiej, jak ja celi i badał przyczyny wszech rzeczy; zajmują mię rozciekawiają ~~dz~~ koleje i przemiany tego języka, który mi jest droższym nad wszystko, zachwycają ci tylko, co w tym języku wielką myśl podawali i wielkie wpajali uczucia. Jeżeli badając polski język, rozszerzając znajomość polskiej literatury można służyć krajowi, to tak służyć mu jest przeznaczeniem mojem.

x x

x

Z „Roztrząsaniach i opowiadaniach historycznych" Szujskiego jest rozprawa nosząca na sobie piętno historycznego geniuszu i wielkiego myśliciela-patryoty.

Jest to „charakterystyka Zygmunta Augusta". Przeczytałem ją dzisiaj i dziwnie! Widzę pod czarną aksamitną kołpą zżółkłą, zbolałą twarz ostatniego z Jagiellonów. Duszę króla przenikam do głębi, a w ~~w~~ sercu jego i w otoczeniu widzę Szekspirowski odgrywający się ponuro dramat. Taka historya – to nie martwa nauka o wojnach, to nie zbiór dat – to strawa posilna, zdrowa, jędrna. Nie mając przyborów poezyi – taka historya – to prawie poezya. Pojmuję, uczę się, wznoszę, czuję.–

x x

x

Czytaliśmy razem powiastkę „Kosztem życia" i zachwycaliśmy się nią wspólnie. Pomimo kilku wad, ma ten romansik niepospolitą świeżość uczucia, wzniosły polot myśli i ten wdzięk, tę cnotę, że ~~jest~~ goni w krainę najszczytniejszych marzeń, najpiękniejszego zapomnienia o świecie i troskach, że dzieje się w idealnem koło

szlachetnych, dodatnich postaci. Autorka kryje się pod pseudonimem Maryi Reginy, a dałbym wiele, aby zedrzeć tę maskę i poznać ją kiedyś. Musi to być osoba wykształcona, miła, wówczas młoda jeszcze, gdy powieść swą pisała. Znać u niej przejęcie się metodą Ouidy, ~~z~~ tej cudownej przewodniczki do kraju pięknych dusz i arcydzieł sztuki, znać w stylu sposób pisania francuski i język od gallicyzmów i cudzoziemskich zwrotów niewolny. Zwłaszcza część pierwsza powiastki, scena między Delfiną i Oktawią St. grzeszy nienaturalnością, wymuszonością, naśladownictwem bez życia, manierą. Im dalej tem ładniej. Autorce nie udała się konwersacya dwóch kobiet, dwóch osób wykształconych i artystek, brakło jej lekkości i swobody, ale czystej duszy obraz, ~~od~~ ale całe opowiadanie Oktawii o odnalezieniu dziwnej (młodej) dziewczyny, ale namiętność, bolesć, poświęcenie - wyszły z pod jej pióra świeże, urocze, pełne poezyi i prawdy.

D. 21/I 1880.

Trzeci zeszyt!... Pisanie stało się potrzebą, piszę więcej dla tego, że czuję chęć oddania wrażeń, które odebrałem, jak dla przyszłego siebie. Wtenczas, kiedyś powiem: „od dzieciństwa!”, dziś wracam do Meluni. – Portretu jej duchowego dać nie jestem w stanie, bo jej nie da się uchwycić, ani sformułować. Trzebaby malarza, aby odtworzyć jej postać, poety, aby oddać duszę. Kiedy słuchałem Szopenowskich mazurków, które wykonywała na fortepianie mówiłem jej, że chciałbym być wielkim, aby jej kiedyś przynieść w garści róże z Paestum i laury Kapitolu i powiedzieć: „Pamiętasz, kiedyś mi grała rzewną melodyę Szopena? Wtedyś rzuciła tę iskrę we mnie, którą rozpalam tłumy, wtedy za-

pragnąłem iść w bój z chorągwią Twojej barwy. Masz te ozdoby mych skroni. Zachowaj, jeżeli Ci miłe, spal, gdy ich nie chcesz, bo dla mnie odtąd nie mają znaczenia" Takem jej mówił, a przy muzyce Szopena można słuchać czyichś nierozsądnych rojeń o wielkości.

D. 22/I 1880.

Jeszczem do ciebie dziś nie zaglądał, poczciwy mój dzienniku. Bo i cóż ci mówić, o czem gwarzyć. Przyszłością nie można ciągle duszy zajmować, wspomnienia dalekie trudno już gonić, o teraźniejszości mówić nie warto. A śnieg dziś pada tak wolno i bez życia, ledwo się trochę zakołysze w powietrzu: nie można, patrząc w okno, nabrać ochoty do dalekiej jazdy. Dla tego dam ~~ci~~ ci dam na chwilę pokój, kartki czyste mego pamiętnika, ~~zaczekacie~~ będę myśli świeżej i nowego porywu serca. –

D. 24/I 1880.

Pozawczoraj, po napisaniu tych kilku słów w dzienniku, zapytany przez Papę, czybym nie chciał pojechać do Babska, przyjąłem propozycyę z radością. Jechaliśmy na Zawady i w lesie między Hutą a Krzyżówką przyszło mi na myśl, że Józio, którego przyjazdu spodziewałem się trochę, przyjedzie dziś, bo właśnie w domu mię nie będzie.
Myśl ta przeszła w zupełną pewność i w wyraźne przeczucie.
O 9-ej wieczorem stanęliśmy w Woli z powrotem. Panna Luiza wyszła do sieni. Twarze jéj i dzieci nie obiecywały mi nic wesołego.
– Qu'est-il arrivé de singulier à Wola? mademoiselle –
„Rien!"

— J'avais pourtant de drôles de pressentiments? —
„Etaient-ils bons?"
— Oh oui! —
Wuj Mieczyś wszedł do sieni i przerwał mi zdanie. — Pourquoi ne m'avez vous pas dit, que l'oncle est arrivé? —
Wuj mi oddał list od Józia, poszedłem do Mamy. „— Wiedziałem, że przyjedziesz — zawołałem, rzucając się w objęcia Józia.
Nikt memu opowiadaniu nie chciał wierzyć, dla mnie zostanie ten fakt dziwnym przykładem prawdy przeczuć ludzkich.

Dziś, przed dwoma godzinami, z głową pękającą od bólu żegnałem się z Józiem, ciocią Bogunią i Wujem Mieczysławem. — Podczas obecności najmilszego gościa nie pisałem dziennika i teraz może nie o nim będę pisał,

lecz w kilka dni dopiero zacznę nizać na jedną nić wspomnienia i uwagi, jak korale i perły szarego, lichego połysku.

x x

x

Kiedy usiadła Melania do fortepianu i ja siadałem blisko i patrzałem się jej w oczy. Zdaje mi się, że nie jest artystką, ale gra dobrze i przyjemnie. Słuchać więc dobrze tej muzyki, rozkosznie, patrząc na nią, ulegać podwójnemu wrażeniu. Prócz harmonii dźwięków ogarnia bowiem cudowna i w głuchej często ciszy słyszalna harmonia wspomnień i otacza szerokimi kręgi, nakształt pierścieni na wodzie, wywołanych rzutem kamienia i zdobnych w barwy tęczy. Wuj wtedy nieraz przychodził, piosnki przypominały mu się jedna po drugiej, a każda nuta

przywodziła wspomnienie. Jaką on żywą, pełną zapału, energii miał młodość. Dałbym całą istotę i wszystkie pozory rozsądku i rozważności, które posiadam, aby mieć taką pierś żarem tlącą, takie poczciwe, poświęceń zawsze pełne serce. Cóż mi potem, że trochę więcej wiem od wuja, gdy był w moim wieku i większą mam od niego reputacyą poważnego chłopca, cóż mi po tym chłodzie, który mię mrozy i innym się odemnie udziela, cóż po tej „żabiastej" jak wuj nazywa naturze? Egoizm i egoizm! –

A jeżeli mię czasem coś wyrwie z tej oziębłości, to na to tylko, aby mi wszystkie jej ohydy pokazać. Ciekawy jestem, jakie będą owoce tego gorzkiego zielska, egoizmu?

Mam osiemnasty rok, który jest przecie epoką podniesienia ducha i szczytnych – marzeń przynajmniej. Inszy on musi być u innych

ten osiemnasty rok życia, boć są przecie ludzie, co z okresu młodości czerpią siły przez cały ciąg żywota. „Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały..."

× ×

×

Czemu mi smutno?

Elegia Gabryeli Żmichowskiej.

Czemu mi smutno? Czy, że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni
I tam, wysoko, po niebie nademną
Dachem otworu rozbił chmurę ciemną
I w uszach skargą jękliwą przewiewa
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co, wirem szału i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznanej, – nieznana,

Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jéj zbraknie siły
Nad brzegiem jakiejś tam obcéj mogiły. – ? –

Czemu mi smutno? Czy, że tu w około
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło,
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,
Żaden głos chętny: „co słychać?" nie spyta
I, że tak wszyscy w różne chodzą strony:
Każdy ku swojéj gwieździe obrócony,
Każdy, niedbały, co na drodze jego:
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego?
Czołga się podle, lub zuchwale leci,
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach Bożych garść łez, krwi i błota?

Czemu mi smutno? Czy to, że widziadło

Mądrości światła na duszę mi padło
I tak głęboko zapuściło szpony,
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni
Ani o cichéj modlitwie, zmówionéj
Na łonie świętéj, dobréj mojéj matki;
Ani o szczęściu naszéj biednéj chatki,
Ani o staréj ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek – bardzo, bardzo staréj –
Pono na nutę nadziei i wiary.

Czemu mi smutno? Czy, że ~~[illegible]~~ moi wszyscy
Duszą jednacy, serca sercem bliscy
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli
Już sobie dawno po trudach wytchnęli
A ja, samotny, jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
~~[illegible]~~

Gdy inne w kraje szczęśliwsze ulecą

Sam tu zostałem i gdy gwiazdy świecą
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie
Blada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie
Duchy swojego życia promień zwiędły,
Jak mi to niańka mówiła, uprzędły.
O: bo mi głucho i pusto na ziemi
O, bo mi tęskno, tęskno za swoimi,
Co się w dębowej trumnie położyli,
Co poszli sobie jakoś ciemną drogę
Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Samego, że już nie mam kochać kogo!

Więc smutny jestem, smutny, bo wiatr wieje
Bo między złymi ludźmi tak sam chodzę
Bo mi nauka zabiła nadzieję
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych. O, tak nie jest przecie:
Mężniejsza na te ciosy dusza młoda,

Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda
Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie,
Zdawna przywykłem w jesienne zawieje
Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje,
A złością ludzką dobrego nie mierzyć.
Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,
Jak w przeszłość, w mądrość, w litość Boga wierzę
O nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły
A Bóg – to wyraz nie zatarty
Co, jak go wieki w naturze skreśliły
Tak znowu wieki z wieków nie wyprzędą
I zawsze w końcu „Bóg, Bóg" czytać będą
Po wszystkie strony był lot myśli mojej
Wszystkich ustami zaczerpnąłem zdroi
I próbowałem pomysłu każdego
A w tem wszech myśli było imię Jego.

Więc też spokojnie na Boga się zdałam
I nie tak gorzko umarłych płakałam
Ja co mam umrzeć. – O, ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia, żałoby,
Ale mi smutno, bo dziś jako cnotę
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną,
A chyba w sądu godzinę okrutną.
Ja powiem Bogu czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić – nie wolno.

D. 26/I 1880.

Tęskno mi do mojego pokoju w Krakowie, do klasy, do godzin łaciny i literatury polskiej, tęskno do kolegów, do wesołej z Tetmajerem rozmowy, ~~[illegible]~~ nawet do dysput uczonych z Szeptyckim, a może i do kazań księdza Siemieńskiego, do Zatheya, do jego pięknych na świat zapatrywań, ale najbardziej do cichych moich wieczorów, gdzie siedzę przy stoliku oblanym światłem lampy widzę zachodzące za kościół rogi półksiężyca. Tam mogę się spokojnie uczyć i odłożyć na bok książkę, gdy mi się zechce myśleć, snuć obrazy pełne dla mnie uroku, zawsze te same, a zawsze tak przyjęte, jakby nowonarodzone. Gdy nie chcę myśleć, ani pisać zaczynam wiecznie te same deklamować ustępy i biorę

znowu książkę i doskonale mi w jej skromnem towarzystwie. Tak upływające wieczory daleko milsze od rozmowy ex officio, drzemiącej, przymuszonej; ~~ta samotność lepsza od czułej, nużącej opieki.~~ Bodaj mi zawsze było tak cicho jak przy moim stoliku z książkami w Krakowie, bodaj tak swobodnie jak na drodze od redakcyi do gimnazyum, jak między wpływem nauki, a tchnieniem poezyi! –

D. 27/I 1880.

W zeszycie, którym wydawnictwo Revue des deux mondes zamknęło rok 1879, na różowym papierze okładki stał wypisany w spisie rzeczy tytuł:

„Umilta, Conte de Noël par Ouida."

Nic dziwnego, że wyczytawszy nazwisko autorki wpuścił każdy ciekawie nóż biały między kartki zeszytu i wtedy drugi raz w zmienionej formie tytuł obaczył:

„Umiltà, esquisse de moeurs toscanes."

A więc do Włoch zaprowadzi nas tą razą autorka, może przed jaką Madonnę Giotta, a więc nacieszymy się niebiosami i słońcem, wygrzejemy się na niem, jak w dzień kwietniowy jaszczurka! Bo Ouida nie opisuje nigdy, prowadzi zawsze sama, jak anioł-stróż, przewodnik dusz do raju, postawi śród krajobrazu, przeniesie do pracowni artysty, do wesołego gródka, do flamandzkiego młyna, przeniknie duszę szesnastoletniej, kochającej instynktowo, idealnej dziewczyny i starego, odwróconego od niej, mrącego z głodu, dumnego malarza i biednego aktora, co w chwili bólu z komedyi płaskiej, robi dramat potężny: Ouida wszystko odczuje, we wszystko wniknie i tak się zagłębi, że słów na efekt obliczać (jej) nie trzeba. Czuje, kto ją czyta, że gdzie jest takie przejęcie się przedmiotem, słowa nietylko zawsze muszą być gotowe na zawołanie, ale płyną z taką siłą i naturalnością, że więcej mówią, niż w swym zakresie objąć zdolne.

I w tej powiastce także, przejęci czarem jej sztuki

zstępujem za nią do cichej wioski Mosciano, nad zarosły bukietami fiołków brzeg górskiego strumienia, w krainę gór i rozkosznych dolin, pod czarne gałęzie smereków, w ojczyznę winnic, muzyki i słońca.

Tam w drzew cieniu stoi kobieta z dzieckiem u piersi, do których się tuli gołąbek. Kobieta wysoka, smukła, posągowo piękna, z jedwabną chustką skrzyżowaną na piersiach, odbijających srebrnym blaskiem perły. U chustki zatknęła wiązkę czerwonych goździków, koralowemi szpilkami wstrzymuje na głowie obfite sploty włosów, płonących barwą złota, prawie rudych, lśniących. Oczy ma duże, wspaniałe, długiemi osłonięte rzęsami, płeć jej jak skórka brzoskwini, którą ozłociło południowe słońce. Z złotowłosem dzieckiem na ręku przedstawia dziś obraz zachwycający, pełny, prawdziwie piękny; dawniej, miała majestat królowej w skromnym, ludowym, pełnym gustu stroju; z sierpem w ręku obok pola żółtego

zboża, oświecona włoskiego dnia pogodą wyglądała, jak Ruth biblijna przy żniwie. „Elle [redacted] a l'élégance svelte d'un haut épi de maïs" mówi autorka i śmiałem porównaniem wybornie niezwykłą piękność maluje, a w innem miejscu porównywuje ją do kreacyi Tycyana. Zbyteczny dodatek! Czyż może komu, co chociaż trzy płótna wielkiego Vecelli'ego oglądał nie stanąć, przy opisie Ouidy, na myśl która z tych postaci kobiecych, w których trzeba podziwiać piękność niewysłowioną rysów, [redacted], połysk złotych włosów, łagodnych oczu i cudownego, białego ciała, obok wyrazu duchowej piękności? Nim napomknęła autorka o podobieństwie swej bohaterki do obrazów Tycyana, już [redacted] zstąpiły do mnie z płótna allegoryczna postać wiedeńskiej galeryi i Venus Pinakoteki, zlały się w jedne niewieście kształty i podstawiły głowę pod groty purpurowych promieni, [redacted] rzuconych przez słońce

zachodzące za toskańskiem polem. O, to jest wielka potęga i wielki dar Boży malować słowami takie Tycyanowskie kobiety i doliny mglisk i takie łany i winnice w górach.

I odtąd owa Wenus, której twarz i postać wyniosłem w pamięci z sal Pinakoteki, odtąd ta Wenus stała mi wciąż na myśli, w [redacted] jaskrawej sukni Wróżki [redacted] przy [redacted] świerkach nad wąwozem, przy zbieraniu ziół i [redacted] w chwili miłosnych oświadczyn Virginia. I w ciasnym poddaszu [redacted] widziałam ją z opartą głową na dwóch rękach, słuchającą żywych, pełnych fantazyi opowiadań żołnierza, urywanej piosenki słowika i oświeconą tylko błękitnawymi promieniami miesiąca, białą, perłowobiałą, nieruchomą, cichą.

W wilgotnej, zimnej, ciemnej celi więzienia, okryta łachmanem stoi przedemną ta sama kobieta, wybladła, wynędzniała, ale zawsze dumna, jak bogini. Dopiero w izbie sądowej, z cichym swym głosem, naiwnością rzewną, z chrześcijańską miłością w sercu,

zmienia się przed „oczyma duszy" stojąca postać [redacted].
Jak przed płomienistem okiem słońca nikną kryształy świecącego lodu, tak i piękność cielesna kobiety [redacted] niknie, w głąb ucieka, [redacted], skoro miłość i przebaczenie zajrzały do tej ciemnej [redacted] duszy i [redacted] dumną regularność rysów oświeciły. Bogini ginie z pamięci a staje anioł, bez skrzydeł wprawdzie, ale z uśmiechem i wdziękiem współbraci

Potem [redacted] kiedy Umiltà zostaje żoną włoskiego wieśniaka, rwie fijołki nad strumieniem i z dzieckiem swojem na ręku uśmiechniętem i pięknem idzie ścieżką w górach, wygląda tak spokojna, szczęśliwa, pogodna, że znów ma urok, malowniczą kształtność, posągowość [redacted] Tycyanowskiéj Venus a w oczach słodycz, dobroć, miłość.

I jakiež są dzieje téj toskańskiéj dzieweczyny?
Rodziców nie znała, i to ją najbardziej boli, gdy mówią o nich „gente ignoti." Biedny podrzutek wychowany między murami dobroczynnego

zakładu, żył w nim do lat 14. Przez ironię losu nazwano dziewczę Pokorą (Umiltà); ona przyniosła z sobą na świat piękność zewnętrzną, szlachetne, arystokratyczne rysy i taką dumę, jakby była córką księżęcia krwi.- Po 14-tu latach przed piękną, dojrzałą dziewczyną drzwi zakładu się otwarły: Umiltà poszła do służby, po raz pierwszy ujrzała świat Boży, wielki, piękny, ograniczony tylko widnokręgiem. W prostocie swojej doliny w mgle wieczora wzięła dziewczyna za niebo; mruganie gwiazd na obszernem, pociemniałem niebie i śpiew słowika dolatujący z ogrodku wydały się biedaczce rozkoszami niebios. Służyła u księdza czas jakiś, po śmierci jego wstąpiła w służbę do signory Rosy, bogatej włościanki, żony wszechwładnej, trzymającej męża w karbach cichej uległości, matki mężnego, pięknego żołnierza-Virginia. Stosunek Umilty do owego wojaka i

zazdrość bogatej dziedziczki Netty Sari stanowią treść powiastki. — Virginio przybywa za urlopem do domu, miłość ku cudownej Umilcie wzrasta i rozkrzewia się w jego sercu, ale dumna dziewczyna marzy o koronie i królewicu * i odtrąca żołnierza. Ten opuszcza wioskę rodzinną Mosciano, wieść o odprawie danej bogatemu chłopcu przez nieznaną dziewczynę, obiega okolicę. Antonina (Netta) Sari, córka zamożnego włościanina, którą uważano za przyszłą narzeczoną Virginia wkłada podczas festynu wydanego przez signorę Rosę kosztowne swoje perły do pościeli Umilty i zaczyna ich niby szukać, potem je znajduje, oskarża biedną dziewczynę, która dostaje się do więzienia. Netta donosi o tem kochankowi listem bezimiennym, ten przybywa, biegnie do więzienia, oświadcza miłość niewinnemu dziewczęciu, które się już pozbyło dumy i hardości i które go kochało

w głębi duszy. Wyznaje mu to Umiltà, on biegnie do domu Antoniny i wiedziony przeczuciem pyta się, czy to nie ona podłożyła perły do pościeli jego narzeczonej. – Zdradna dziewczyna miesza się i zmuszona przez Virginia wyznaje swą winę przed sądem. – Pozwólmy mówić autorce dalej:

„Umiltę uwolniono. Kiedy w jasnym blasku słońca stanęła w środku izby sądowej, tak była blada, taka jej światłość na twarz padła, że zebranemu pospólstwu wydała się aniołem.

Sędzia się jej spytał, czy chce, aby fałszywą jej oskarżycielkę przytrzymano i ukarano. Umiltà odpowiedziała głosem tak cichym i słabym, jak głos człowieka, co długą przebył chorobę.

„Nie, dajcie jej pokój!" rzekła. „Cóż mi teraz z tego? A potem, ja ją wyzwałam."

– Jakto? –

„Powiedziałam jej, że on mnie kocha."

Sędzia zaśmiał się z nowu.
A ona wyszła z izdebki między Virginiem i jego matką – bardzo blada i poważna; naprawiona zupełnie i na zawsze pokorna.
„Już chyba nie będę dumną" rzekła z cicha „tylko z ciebie dumną" dodała, podnosząc wzrok na swego kochanka.

. . . .

Taka jest prosta treść powiastki o cudownych obrazach i ładnych charakterach. Kiedy indziej, gdy lepiej materyały uporządkuję i zbiorę wyciągnę naukę i ~~p~~ będę się starał podnieść dobre i złe strony utworu. Trzeba przyjmować dary ~~tak~~ za to, za co je nam dają. Prostą powiastkę trzeba sądzić po prostu. A że „Umiłka" ma być baśnią zimową, powieścią, którą się opowiada przy kominku ~~koło~~ Bożego Narodzenia, że ją autorka właśnie przed

temi ~~~~ ofiarowała świętami, niech się przynajmniej jeden wieczór cieszy nią umysł, serce, wyobraźnia z ~~~~ naiwnością i prostotą tych dziewcząt, które podobnych opowiadań słuchają przy wrzecionie.

D 28/I 1870.

Urywki z tłomaczenia „Umilty."

I

Netta Sari była obecną; na twarzy jej malowało się nieukontentowanie. Netta uchodziło za piękną dziewczynę; była zgrabna, miała żywe niebieski oczęta, głowę jej wieńczył warkocz bardzo pięknych, ciemnorudych włosów. Kiedy Virginio Donatti poraz ostatni odjeżdżał w skończyła zaledwie piętnasty rok życia, myślała o nim jednak wiele i oczekiwała go z niecierpliwością. Piętnastoletnie dziewczyny

się już kobietami w tym kraju, gdzie oliwki dojrzewają razem z winogradem, a na wiejskich zabawach, wyprawianych pod pozorem ukończenia winobrań, piękny żołnierz za wiele z nią tańczył, aby spokojną nadal zostać mogła. Odtąd córki signory Rosy dokuczały jej ciągle przypominając brata i szeptały jej na ucho: „Kiedy Virginio powróci....” A teraz wrócił Virginio, ale zajęła go jedynie trovatella.

Nettę kłuło to boleśnie: nie była wyszła za mąż z miłości do wojaka i także dla tego, że pragnęła ~~...~~ lepszy od wieśniaka zrobić wybór. Serce ciążyło jej w piersi kamieniem, w palcach kręciła sznurek pereł tak wielkich i pięknych, że żadna dziewczyna w okolicy ~~...~~ podobnemi szczycić się nie mogła. A Umiltà tymczasem, leżała na wąskiej pościółce i oczu zmrużyć nie mogła, dzięki wrzawie wieczerzających gości.

Nieruchomem okiem śledziła dziewczyna czarnego lot nietoperzy i przywoływała na myśl postać królewicza, co miał przyjechać po nią w złocistej karecie. Czemu by to się ziścić nie mogło? Czytała przecie o podobnych wypadkach.

. . . .

II.

Raz gdy tak Umiltà używała pogody w towarzystwie swych krówek, Netta Sari przechadzała w pobliżu. Netta trzymała sznur pereł w ręku. Stanęła i pokazała je pasterce, do której się dotąd nie odzywała prawie.

„Patrzże Umiltà! Prawie nowe .... i takie piękne! Mój dziadek z Pontassieve przywiózł mi je wczoraj wieczorem. Takich pereł niema w całej gminie, a możeby i w Signa równych się nie znalazło!"

Umiltà rzuciła okiem:

„Ładne" rzekła sucho.

„Ładne!? I nic więcej?! Ładne! To nie są

perły, jak po wsiach bywają, rozumiesz. Zostały kupione na moście Złotników. Via!"

„I cóż mi do tego" rzekła zadąsana.

„O tobie nic do tego, wiem, wiem" zawołała ze śmiechem właścicielka pereł „nic ci do tego. Ty mi ich nie zazdrościsz wcale, nieprawdaż?.. tyś coś się tak uśmiechała do Virginia Donaldi, tak słodko – daremnie!"

Krew uderzyła do twarzy Umiłty, dziki płomień zajaśniał w jéj źrenicy. Zerwała s Powstała prosta, gotowa gniewem swym i mocą zgnieść to bezczelne stworzątko, które jéj ubliżało.

„Ja? Ja? Czyś zwaryowała Antoinetta Sari? Ja? A więc się dowiedz – ty, coś która wzdychasz i usychasz za Virginiem Donaldi, dowiedz się, że on mnie kochał, tak! mnie, mnie, co ci to mówię .... i żem z nim się tak obeszła, jak się z tem obchodzę!"

Szyszkę świerkową, leżącą na stoku góry rzuciła za siebie. Szyszka staczała się z góry w podskokach, aż wpadła w jar, gdzie pasące się kozę; Netta Sari pobladła jak chusta: wiedziała, że jej rywalka nie kłamie.

„Chciałabyś mię zrównać z sobą" rzekła Umilka, zagniewana na siebie, zarówno jak na drugich. — Uderzyła krowy gałęzią i odegnała dalej.

. . . .

III.

Z nadejściem nocy, kiedy się cała rodzina zebrała, śmiała się i śpiewała w ogródku, pod ~~…~~ gołem niebem, pełnem gwiazd iskrzących, Umilka ~~…~~ szła do swego poddasza i przymykała drzwiczki. Tam z góry słyszała całą rozmowę. Po upływie pewnego czasu gwary cichły, piosnki zamierały: proszono Virginia, by opowiadał swoje przygody. Z początku się zawsze wymawiał, palił fajkę w milczeniu,

siedział ponury i zmęczony, ale się wkońcu namyślał i zaczynał opowieść. Umiltà nie widziała, że podnosząc oczy ujrzał żołnierz otwarte okno jej poddasza a błędny promyk księżyca pokazał mu cień jej profilu na ścianie. Głos opowiadającego wstępował do niej z ciemności i Umiltà musiała słuchać tego głosu; piękniejsze to były powieści od bajek tragarza.

Mówił o różnych czynach, których dokazał, o różnych rzeczach, które widział i ożywiał się w miarę, jak mu się wspomnienia cisnęły do głowy; mówił o ~~gon~~ szukaniu rozbójników w lasach Sycylii i Sardynii, pełnych korkowych dębów, o zapaśniczych walkach w niedostępnych górach, o dzikiej piękności i o fantastycznych strojach wysp — i o kobietach tych krajów prawił, o nocach na morzu, a na tem morzu, którego nikt z słuchaczów nie widział — i rozbiciu okrętu

na którym płynął i o łodziach nurków łowiących korale i o sposobie życia, szukających miedzi górników, i o palmowych gajach i o owocach kaktusa i o noclegach na wonnym brzegu Śródziemnego morza; a wreszcie zaczął opowieść o wejściu do Rzymu, gdy na odgłos trąbki bersalierów, otwarły się wieczne wrota.

Umilkła słuchała siedząc, z głową pochyloną, opartą na rękach. Głos Virginia wstępował z ciemności, nie widziała nic, łowiła tylko uchem wyrazy, oczarowana, ciekawa. Rodacy Virginia ~~opo~~ mają dar opowiadania i on też obok dźwięcznego głosu posiadał ten talent instynktowny, którego moc polega na uwydatnieniu zajmującej części ~~[illegible]~~ opowieści. To też wszyscy słuchacze byli pod jej urokiem, wszyscy zawiśli u ust bersaliera, ale najpilniejszym był niewidzialny słuchacz na poddaszu.

Księżyc płynął wyżej i wyżej w niebiosa, gwiazdy pozapalały się wszystkie, słowik śpiewał

ciągle, noc upływała zwolna.

Kiedy [redacted] [redacted] głos zagasł wśród ciszy, Umilka obudziła się, jak ze snu; była już północ; zamknęła szybko drewnianą okienniczkę, w nadziei, że on [redacted] nie spostrzegł, iż otwartą była; myliła się, Virginio ujrzał [redacted] ją przy blasku błądzącego promienia, zwykła jego wymowa powiększyła się jeszcze.

x x

x

Dostałem list od Izia bardzo poczciwy i miły. Wieje ze słów jakaś życzliwość, która jest prawie przyjaźnią. Donosi mi, że chory, że leży, że się nudzi, że vox populi g przyznaje mi pierwszą lokacyę. W sobotę [redacted] wieczorem będę oglądał mego zacnego kolegę i – świadectwo. – Janinka był wczoraj w nocy bardzo słaby na gardło, dusił się okropnie. [redacted] Ipekakuana usunęła niebezpieczeństwo, dziś chory leży jeszcze.

D. 29/I 1880.

Jutro ostatni dzień pobytu w Woli. Miesiąc temu, 29 Grudnia 1879, uczyłem się najspokojniéj roli Astolfa przed lustrem. Czas leci! okropnie leci!
Niunio słaby, twarz mu napuchła jak Waluniowi przed trzema tygodniami. – Janinka leży. Kaszel Mamy trwający już 8 tygodni nie zmniejsza się dotąd.

x x
x

Gdybym na podstawie 4 znanych powiastek Ouidy miał podnosić jéj dobre strony, podziwiałbym najprzód pewne idealne dążenie, które ma także zaletę prostoty. Daléj wynosiłbym jéj imaginacyą bardzo oryginalną i żywą, tak żywą, że widzi zawsze wszystko zewnątrz i w duszy

swego bohatera, obok żywych postaci obrazu nie zaniedbuje roztoczyć i pejzażów w tle tegoż. W tych kilku słowach da się, jak tuszę, zamknąć cały talent Ouidy, chciałbym to zdanie teraz rozwinąć i wyjaśnić.

Angielska autorka ma tę piękną własność, że na dnie jej powiastki jest zawsze myśl bardzo piękna, że się z nich zawsze wydobędzie nektar jasnego na świat zapatrywania, wiary w dobro, w cnotę, w ludzi. Kierunek ten dodatni nie tylko, że idzie wbrew ogólnemu prądowi usposobień, ale u Ouidy przybiera on jeszcze oryginalne barwy. Zawikłanie, intryga, wiele wrażeń i efektów składają się na rzecz zajmującą w dzisiejszem rozumieniu. Aby to zajęcie osiągnąć trzeba zstąpić aż do podłych i do ciemnych aż do niskich i nikczemnych. Dramat, gdzie występowały same doskonałości, święci np., dałby zebranej publiczności raczej ochotę do snu, niż przedsmak

nieba. Ouida przedstawiając po większej części dodatnie charaktery nie kusi się o intrygę. Poświęcenie [redacted], jedno z największych, jakie być mogą, a [redacted], ciche, trzymane w tajemnicy, którą grób przywala, miłość do sztuki, która zabijając chłopca, opromienia ostatnie jego chwile, niewinność prześladowana i płacąca dobrem za złe – oto są treści trzech opowiadań Ouidy (La Renommée, Nello et Pétrasche, Umiltà) Czwarta powiastka znana mi (La branche de lilas) najmniej ładna, bo pesymistyczna. – Trzy pierwsze nowelle są dowodem, jak prostą obiera sobie treść autorka, jak piękną zarazem. A [redacted] jasnemu jej talentowi nie wystarcza obrać treść dodatnią, chce aby wszystko było dobre, piękne, idealne. I tak nie waha się ona przedstawiając bohaterkę [redacted] dać jej piękność przechodzącą zwyczaj naszych kobiet [redacted], które przecież nie zawsze są tak piękne, jakby niemi być chciały; kreśląc obraz

malarza daje mu Ouida talent pierwszorzędny obok braku sławy i śmierci głodowej, w serca dziewcząt, które maluje wkłada dobroć, litość, miłość – bez granic. Jednem słowem umie wszystko przedstawić pięknie, jakby wiedziała i przekonaną była silnie, że sztuka jest na to, tylko aby dać ziemię zapomnieć, że jakby pisała na to, aby napoić pięknem bez kropelki kału. – Są kobiety pełne wdzięku i dowcipu, z umysłem na to stworzonym, aby zachwycał, tak, jak ich uśmiech zachwyca, ale małomówne i skromne nie dość wygadane i śmiałe, aby się całemu światu podobać. Mężczyźni zową je „kuropatewkami." Podobne są do nich te powiastki Ouidy. Słów bardzo mało, ale dzięki i treści i ustom, z których płyną mają one wdzięk niezapomniany, cóż kiedy, jak owe kobiety, nie wiedzą nic o awanturach i zajmują się tylko pięknem i dobrem.

D. 30/I 1880.

Jutro jadę. – Nic więcej do powiedzenia nie mam. Jutro będę dalej od Warszawy, daleko od Dorpatu, jutro nie będę widział komicznych min Antosia ani uśmiechniętej Marysi. Jutro będę przy pracy, w nudnym, antypatycznym Krakowie, ale z książką, z Słowackim, w ciszy. Może to pociecha, może...

× ×

×

Skończyłem wczoraj czytać pozawczoraj zaczętą powieść Wiktora Cherbuliez: „Le roi Apépi." – Je suis resté bouche béante. Cudowne obrazki buidy próbowałem naśladować, ale nie odważę się mówić o dowcipie Cherbuliez'a. – Je suis resté bouche béante. – Kto przeczytał zrozumie, że nie mogę się puszczać na odtwarzanie takich